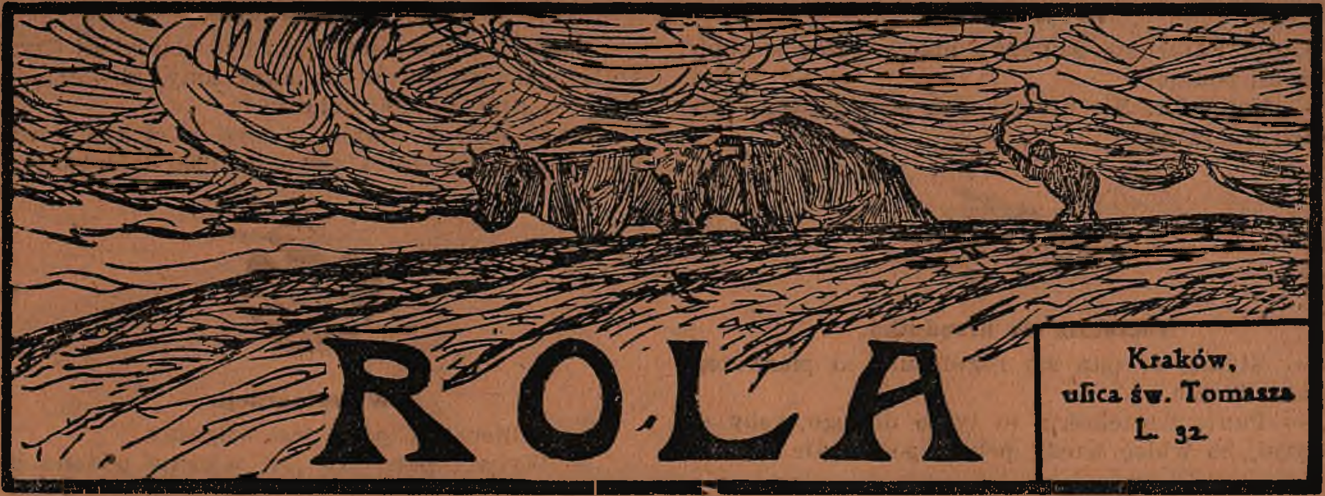
Numer 8. Nal. pocz. opl. ryczałtem. Dnia 23 Lutego 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

W restauracji.

Gość: Panienko, panienka macza palce w zupie, którą mi podaje!

— Kelnerka: Nic nie szkodzi, proszę pana, zupa nie bardzo gorąca.

Naczelnik do urzędnika.

— Słyszę, że pan się regularnie co pierwszego upijasz. To źle.

— Panie naczelniku, to tylko dlatego, żeby się ucieszyć, bo widzę wtedy pensję podwójnie.



Zawsze interes.

Na łożu śmierci pewien stary żyd przyjął katolicyzm.

Ksiądz mu daje do rąk srebrny krzyż.

Żyd, oddając ostatnie tchnienie, mówi:

— Sto złotych! Ja daję za niego 100 złotych.

W sądzie.

Sędzia (do oskarżonego o kradzież): Powiedz mi szczerze, czy cię też sumienie nie gryzie.

Złodziej (drapiąc się w głowę): Gryzie mię trochę, ale to chyba nie sumienie.

Nie zabrania.

Żona: Oto małżonek, jaki być powinien! Czy słyszałeś, jak powiedział do swej żony, aby oglądnęła sobie to futro za 200 dolarów?...

Mąż: Moje kochanie, a czyż ja ci kiedy wzbraniałem oglądnąć futra nawet za 1000 dolarów?...

W restauracji.

— Kelner, ten talerz jest wilgotny.

— Wybacz pan. To jest właśnie podana panu porcja zupy.

Dobry znak.

Auto pędzi w ciemności.

Ona: Zdaje mi się, że przejechałeś teraz człowieka!

On: To najlepszy znak, że jedziemy drogą!

Powiada przysłowie, że co łatwo przyszło, to i łatwo poszło, ale to się stosuje tylko do pieniędzy, a nie do kłopotów ludzkich.

Numer 8. Rok XIII. Kraków, dnia 23 lutego 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

W 99 rocznicę bitwy pod Grochowem.

Dnia 25 lutego b. r. upływa 99 lat od owej pamiętnej bitwy pod Grochowem, w której oręż polski w walkach o niepodległość okrył się nieśmiertelną sławą, w której żołnierz polski dał dowód odwagi, karności i nieustraszonego męstwa, a Polską cała przeżywała radosne chwile z odniesionych na wrogu zwycięstw pod Stoczkiem, Dobrą i Nową Wsią. Mimo zwycięstw Polaków, car Mikołaj I, następca Aleksandra I, nie dał za wygraną, lecz pod wodzą starego i doświadczonego wodza wojsk rosyjskich, Dybicza, wysłał na ziemię polskie 200.000 wojska i 600 armat, celem stłumienia powstania. Armja polska liczyła wówczas tylko 40.000 wojska i 300 armat. Dowództwo nad nią dzierżył Radziwiłł, którego wspierał swą radą generał Chłopicki.

Armja rosyjska z Dybiczem na czele miała za zadanie dotrzeć do Warszawy i zdobyć ją. Na prawym brzegu Wisły, pod wsią Grochowem, zaszli mu drogę Polacy. Zaczął się bój o godzinie 9 rano. Chłopicki postanowił za wszelką cenę wstrzymać wroga i nie dopuścić do zajęcia olszynowego lasku, bo tam krzyżowały się drogi i kto miał ten punkt, mógł niedopuścić do połączenia się sił nieprzyjacielskich, był to ważny punkt strategiczny, tędy prowadziła droga do Warszawy. O ten lasek olszowy rozpoczęła się walka. Dwa pułki polskie odparły zwycięsko natarcie nieprzyjaciela. Pod osłoną dział, piechota rosyjska w dwukrotnych atakach usiłowała zdobyć „Olszynkę“, lecz Polacy celnym ogniem swych dział zmusili ją do odwrotu.

Podrażniony Dybicz pchał do walki coraz nowe pułki. Gdy pod silnym naporem Moskali chwiać się zaczęły polskie oddziały, wysłał gen. Chłopicki pod wodzą Bogusławskiego do boju słynny z waleczności, nieśmiertelny pułk czwarty. Dzielni „czwartacy“ mimo gradu kul i kartaczy posuwali się ciągle naprzód bez strzału i atakiem na bagnety wyparli zajmujących już „Olszynkę“ Moskali.

Teraz wysłał do walki Dybicz wyborowe swe pułki. Chłopicki, widząc co się święci, sam stanął na czele wojsk i powiódł polskie szeregi z pieśnią na ustach: „Jeszcze Polska nie zginęła“ w ogień. Żołnierz polski zagrzany obecnością wodża, rzucił się na bagnety rosyjskie, rozbił szeregi wroga i wziął 4 armaty, a nieprzyjaciela zmusił do cofnięcia się w nieładzie.

Dybicz widząc pierzchające szeregi rosyjskie, rzuca się z swymi oficerami między tłumy i tym sposobem zatrzymał uciekających. Wszczęła się walka na nowo. Uderzyli teraz na Moskali nieustraszeni polscy grenadjerzy. Gdzie najgorętsza trwała walka, tam widziano postać Chłopickiego, który bez munduru, w surducie i kapeluszu, w podziurawionym od kul płaszczu jawił się na swym koniu między walczącymi i zagrzewał ich do męstwa i wytrwałości. Nagle, gdy szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Polaków i gdy Moskale zaczęli z pola walki uciekać, pękający granat rozszarpał Chłopcikiemu konia, a generała ranił w obie nogi. Zbroczonego krwią uniesiono z pola walki. Bez wodza, mimo bohaterskich wysiłków, nie można było stanowisk utrzymać.

Po zaciętej walce pod Grochowem, cofnęło się wojsko polskie przed przeważającemi liczebnie wojskami wroga. Dybicz również poniósł tak znaczne straty, że musiał zaniechać dalszego boju i Pragi ni Warszawy nie wziął, a choć plac boju pozostał przy nim, dzień ten zapisał się chlubnie na karcie historji polskiej i okrył wiekową sławą żołnierza polskiego.

Piotr Wenc.

WOJCIECH BYCZEK-BREOWICZ.

Zamek Odrzykoński.

Szkic historyczny z XVII wieku.

Siedm kilometrów od Krosna, a na granicy dużej wioski Odrzykonia znajdują się ruiny starego zamku, który dawniej nosił nazwę Kamieniec. Zamek dzielił się niegdyś na wyższy zachodni, leżący na terenie Odrzykonia i niższy wschodni, leżący na terenie miasteczka Korczyny. Nieubłagany ząb czasu zatarł jednak różnice pomiędzy wyższym a niższym zamkiem, który przedstawia się dziś jako jedno grozą skrzydlate cmentarzysko, otoczone resztkami murów zewnętrznych, których znaczna część zachowała się dotąd nieporuszona.

Najstarsze zapiski nie wspominają nic o pierwszych początkach zamku. Podanie natomiast mówi, że jeszcze w czasach pogańskich istniało tu słowiańskie grodzisko, wybudowane z drzewa. Dokoła huczały nieprzebyte bory, pełne zwierzyny i ptactwa, które dostarczały pierwszym mieszkańcom grodziska pokarmu i odzieży. Napady tatarskie zalały krwią i pożogą okolice Krosna, niszcząc równocześnie Kamieniec. Wyludnione i stojące pustką okolice zaludnił dopiero jeńcami i osadnikami niemieckiemi Kazimierz Wielki. W miejsce zburzonego przez Tatarów drewnianego zamku na Kamieńcu powstaje za Kazimierza Wielkiego obronny zamek kamienny, zabezpieczony rowami wodnemi, zwodzonemi mostami, grubemi murami i potężnemi basztami.

Niejedne losu koleje przeszedł ów sławny Zamek Odrzykoński, aż wreszcie doczekał się w roku 1657 krwawego najazdu Szwedów, a z nimi księcia siedmiogrodzkiego Jerzego II Rakoczego. Najazd ten w poniżej podanym szkicu historycznym opisuje barwnie p. Wojciech Byczek-Breowicz, który dzieje Zamku Odrzykońskiego opisał w broszurce, wydanej nakładem Jana Pelczara i Ski w Jaśle w 1928 r. — Książeczkę powyższą można nabyć u Autora w Krośnie.

I.

Na czarnem tle nocy marcowej 1657 r. krwawo świeciły łuny pożarów, a rozpłomienione kłębiska dymu wlokły się jak zaklęte potwory nad okolicą, plądrowaną przez wojska szwedzkie. Na murach Krosna huczały działa, rzucając gromy pocisków w szeregi nieprzyjaciół.

Oblężonym nie zbrakło ducha odwagi i wiary w zwycięstwo — nie myśleli więc o kapitulacji, lecz o obronie, o walce na śmierć i życie. Granitowy pierścień murów opasujący miasto, dwadzieścia kilka armat, załoga licząca około tysiąc ludzi wraz ze służbą i okolicznymi wieśniakami, którzy wraz z rodzinami szukali schronienia za murami miasta — oto potęga, o której pierś rozbijały się od kilku miesięcy drapieżne hordy najeźdźcy. Mimo głodu i niedostatku, mimo znużenia i wyczerpania, spowodowanego długiem oblężeniem, bezsennemi nocami i uciążliwą pracą — walczyła ta garstka przeciw krociom do ostatniego tchu, trwając na swym posterunku w nadziei nadejścia pożądanej odsieczy.

Na murach i basztach czuwano bez wytchnienia, nie wyłączając kobiet, dzieci i starców; siano zniszczenie na każdy oddział Szwedów szturmujących do bram, które zabarykadowane, strzeżone były ustawicznie przez najdzielniejszych z załogi.

W powietrzu czuć było jakąś niepewność, jakby jakieś fatum piekielne rozpościerało swe skrzydła nad ziemią, zapuszczając straszliwe swe szpony w dal i wszerz.

Bory okolne stały cicho, jakby zapatrzone w złociste morze blasków wstającego świtu, igrającego tysiącem barw wśród drzew i budzącego się listowia. W niebiosach gdzieś grał przecudny, przeradosny hejnał wiosenny skowrończych pieśni, które jakby niewidzialne srebrzyste dzwonki napełniały przestworza uczuciem rozkoszy i tchnieniem życia budzącego się w przyrodzie. Coś — jakby duch tajemniczo ukrytych potęg szło od cudownego wschodu głaskając tęczę porywów i uczuć przymilnych, boskich serca i dusze ludzkie. Ziemia-matka budziła się ze snu, wołając słońca i deszczu — tych sił twórczych i krzepiących rodzące jej łono, które niedawno zrzuciło z siebie mogilną powłokę zimy.

— — — — — — — — — — — —

Na zamku odrzykońskim panowała cisza. Szwedzi zniecierpliwieni długiem oblęganiem i wielkiemi stratami w ludziach oraz materjałach wojennych — zaprzestali od kilku dni walki, spoczywając w obozie, jak stugłowy smok, który po otrzymanych ranach udając pokonanego, sposobi się do odwetu — aby z całą wściekłością rzucić się niespodzianie na kark nieprzyjaciela i powalić go w śmiertelnym uścisku.

Na grodzie jednak panowało słuszne przekonanie i ta okropna pewność, że wróg chytrością i podstępem stara się uśpić czujność załogi, aby tem łatwiej opanować ciężką dla siebie sytuację.

Wielu z oficerów i rycerstwa tworzącego załogę zahartowanych było i doświadczonych wielce w długich walkach z rozjuszonem kozactwem i moskalami. Twarde od miecza ich ręce i z pogardą w obliczu śmierci patrzące dusze — nie spoczywały ani chwili bezczynnie. Poprawiano mury okalające zamek, uzupełniano wszelkie uszkodzenia i wyrwy, czyszczono działa i rusznice, opatrywano samopały i pistolety, ostrzono miecze i koncerze.

Chwilowa ta cisza i względny spokój grały w uszach załogi jakąś daleką niewyraźną melodją dział, terkotem ręcznej broni, tętentem konnicy, krzykiem, wrzaskiem, morderczem nawoływaniem i tym ogromnym a namiętnym i niezmordowanym wysiłkiem ramion i ducha, który wznosi ku szczytom, lub strąca w otchłanie.

— — — — — — — — — — — —

Wstający nad górami i okolnych borów czernią cichy, pachnący wiosenny dzień, zastał załogę zamkową przy wytężonej pracy nad wzmacnianiem tej fortecy, która przetrwała tyle zawiei dziejowych, tyle hord drapieżnych — przetrwać więc powinna i tę obecną burzę — kurzawę krwi i mordu...

— W stopięćdziesiąt szabel i dwanaście dział ufa ten olbrzym wiekowy! — rzekł do swych towarzyszy dzielny komendant zamku, pułkownik Mikołaj Załuski. Tego odwiecznego strażnika Ziemi Czerwieńskiej Rzeczpospolita powierzyła dzielności naszej! Honor i wierność Ojczyźnie nakazują nam czuwać i działać do ostatniego tchu! Znużeni jesteśmy, ale Rzeczpospolita, Matka nasza, więcej jest od nas znużona i cała zalana krwią! Wytrwać musimy!

Rozpłomienionym wzrokiem potoczył po obecnych, którzy ściskając w dłoniach twardy oręż, spoglądali na komendanta, jakby w potwierdzeniu, że słowa jego trafiły im do serc, uzbroiły zapałem do

dalszej pracy mordężnej — zapaliły żądzą obronnej walki na wieczną Ojczyzny chwałę.

— Komendancie, — melduje adjutant — oto goniec tunelowy przynosi wieści z Krosna. Lecz pułkownik wsłuchany w jakąś daleką tajemniczą muzykę, spoglądał w dal i zdawał się ważyć w duszy coś wielkiego, nie słyszał nic oprócz głuchego odgłosu kroków zbliżającego się przeznaczenia, a wyłaniającego się z otchłani konieczności dziejowej...

W tej chwili staje przed nim mężczyzna lat średnich, wzrostu miernego, o twarzy pogodnej, ubrany w wytartą chłopską siermięgę — spoglądający dumnie i śmiało po obecnych.

Zaznaczyć należy, że między Krosnem a zamkiem ciągnął się głęboko pod ziemią tunel, służący za bezpieczną drogę komunikacyjną na wypadek wojny i oblężenia. Wykuto go w czasach dawnych, podobno — jak opowiadają starzy — po pierwszym napadzie Tatarów, t. j. w pierwszej połowie XIII w. Był on tak szeroki, że mogło dwóch jeźdźców przejechać obok siebie; lecz w niektórych miejscach był zbyt niskim do konnego przebycia, gdyż skały, w których go kopano, opierały się zwycięsko kilofom i dłutom górników. Ze względu na większe bezpieczeństwo nie posiadał tunel ani jednego otworu do powierzchni ziemi, wskutek czego pozbawiony był zupełnie światła i świeżego powietrza. Dlatego też przebycie jego wymagało wielkiego napięcia nerwów, znajomości terenu, wytrwałości i prawdziwego poświęcenia.

Wieśniak ów, nazwiskiem Rabuła, służył całą duszą swemu zadaniu i najsumienniej spełniał obowiązki łącznika pomiędzy obleżonem Krosnem a zamkiem, które to punkty mogły tą drogą jedynie porozumiewać się z sobą i dostarczać sobie w miarę możności wzajemnej pomocy i dodawać otuchy.

Komendant znać wyczytał w twarzy przybyłego ważne jakieś wiadomości, gdyż odprawił obecnych towarzyszów broni i, wsparłszy się oburącz na głowni miecza, zapytał przytłumionym głosem:

— Mów Rabuło, zali dobre przynosisz wiadomości?

— Tak i nie, mój panie! — odrzekł głucho znużony posłaniec. Krosno trzyma się twardo, załoga walczy do upadłego ostatkiem sił. Nocami naprawia się mury, które w dzień padają i kruszą się pod naporem Szwedów. Moc rannych, więcej jeszcze zabitych, których już niema gdzie grzebać. — Żywności i prochu nie starczy na tydzień.

Stojący na skale komendant zdawał się nie słuchać tego, gdyż nie drgnął żaden muskuł jego twarzy ogorzałej śród znojów wojennych. Spoglądał tylko jakimś stalowym wzrokiem w siną dal, gdzie na czarnem tle gór karpackich rysowały się wieże kościelnie i dachy niektórych domów. Było to Krosno.

— Ty jesteś wielki i potężny, potężniejszy od wszystkich nieprzyjaciół! — szepnął do kogoś niewidzialnego, spoglądając w niebo pogrążony w myślach komendant.

Nastała chwila milczenia, przerywana krzykiem chmury kruków, ciągnących nad zamkiem w stronę Krosna.

Zbudzony z zadumy, odesłał komendant posłańca, dając mu ważne dla Krosna zlecenia i skinął na stojących oficerów, wskazując im ostrzem szabli na południowo-wschodni horyzont. Wytężono wzrok w kierunku wskazanym i głuche milczenie zapanowało dokoła. Daleko, u stoków gór na przełęczy dukielskiej zauważono jakieś słabo poruszające się ciemne plamki. Zjawisko to kazało się domyślać zbliżania się jakichś wojsk. Ale jakich?... Oto pytanie, które zelektryzowało umysły całej załogi. Czarne oddalone punkciki sunęły powoli w stronę północno-zachodnią, zarysowując się coraz wyraźniej na tle rozłanych w dali borów i szczytów górskich. Maleńkie początkowo plamki wzrastały w miarę zbliżania się, olbrzymiały, rozlewały się po polach i płynęły w stronę Krosna jak cień olbrzymiej chmury, sunącej z wiatrem napowietrznemi szlaki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Dziecko ulicy.

W poranny dzień zimowy w jednej z kamienic na przedmieściu jednego z większych miast na Śląsku, tłoczyło się w brudnej, ciasnej suterenie kilku mężczyzn podejrzanej powierzchowności i rozprawiali coś żywo między sobą i sprzeczali się chwilami ostro, nie szczędząc sobie nawzajem dosadnych przycinków. Wokoło nich kręcił się nieustannie chłopak, jedyny wśród nich i wchłaniał w siebie z żywością to wszystko, co słyszał.

Krętanina ta zwróciła wreszcie uwagę jednego z tych podejrzanych indywiduów, i zwrócił się do chłopca groźnie:

— A co? jeszcześ tu? draniu uprzykrzony! Ruszaj mi zaraz za robotą, bo jak nic dziś nie przyniesiesz, to pójdziesz głodny spać!

— Owa! czy mnie to pierwszyzna głód?! Do jutra niedaleko i nie jestem dziś głodny, a zresztą na świecie taki ziąb i wcale nie mam ochoty leźć policjantom w oczy! Ani myślę ruszyć!

— A pójdziesz mi zaraz ty darmozjadzie przeklęty! — widzicie go! żrećby chciał darmo i leżeć do góry brzuchem! — paniczyk! — rzucił pogardliwie w stronę chłopaka, zestrachanego nieco groźnemi minami reszty.

— Jak się natychmiast nie wyniesiesz do swej roboty, to jutro możesz sobie zdychać na ulicy, nie myślimy trzymać cię tu darmo ty obwiesiu!

— Samiście obwisie! — rzucił ze złością, chwycił za czapkę i wybiegł.

— Zdaje się, trochę za ostro z nim postąpiłeś, — jeszcze nas zadenuncjuje.

— Niema obawy, wróci, nie bój się! i ręczę, że nie z próżnemi rękoma.

Pozostali w suterenie mężczyźni, była to zbieranina nocnych włóczęgów i indywiduów, kwalifikujących się za kratki więzienne.

Chłopak, bezdomny sierota, nie wiedzieć skąd znalazł się u nich.

Urwis ten już czternastoletni był sprytny i obznajomiony z swoim „fachem“, miał w sobie dużo zaciętości i uporu, ale z musu ustępował starszym. — Znał wiele ich sprawek, na które się jego niezepsuta jeszcze do gruntu natura oburzała, to też gdy starsi planowali jakąś „wyprawę“, wyprawiali chłopca na miasto, by im nie przeszkadzał ułożyć planu.

Raz chłopak, wracając ze swych „łowów“, jak mówił, spotkał na jednej z pustych uliczek płaczącą biedną kobiecinę z dzieckiem na ręku, które również płakało z głodu. Nie namyślając się, oddał jej swą zdobycz, składającą się z bochenka chleba i sporego

wianka kiełbasy. Słowem, był to materjał podatny na uczciwego człowieka, gdyby czyjaś ręka nim pokierowała. A że dostał się między szumowiny i wyrzutki społeczne, to nie jego winą, że sieroty nie przygarnęli ludzie uczciwi.

— — — — — — — — — — — —

Była godzina popołudniowa, w której dziatwa opuszcza mury szkolne. Ulice roiły się od studentów i uczeniс. Dziatwa spieszyła radośnie, chociaż śnieg sypał, a po niebie snuły się leniwie ciemne chmury.

Jedną z poprzecznych ulic biegło kilka dziewczątek, gdy w tem z poza zakrętu bocznej uliczki, jak wicher wpadł na nie uliczny oberwus, dziewczątka rozbiegły się na wsze strony, jak stadko spłoszonych kurcząt, na które wpadnie jastrząb. Jedna z nich nie dość szybko ustąpiła i chłopak z całym impetem rozpędu wpadł na nią; wywrócił ją i sam wywinął koziołka, a zawiniątko, które miał, wyleciało mu z rąk i potoczyło się w śnieg, tak samo i książki dziewczynki walały się w śniegu. Chłopak zerwał się, podniósł zawiniątko, chciał dalej uciekać, lecz płacz dziewczynki, którą mimowolnie przewrócił, przygwoździł go w miejscu. Był to nasz bohater.

Popatrzył na dziewczątko gramolące się ze śniegu, poskoczył i pomógł jej wstać. Potem pozbierał książki i podał jej. Wtedy to spojrzały sobie w oczy te dzieci: Ona dziecko salonu, on, dziecko ulicy! — Spojrzeli po sobie, a widząc się wzajemnie, uwalani śniegiem, parsknęli serdecznym śmiechem, nie myśląc o różnicy stanu, jaki ich dzielił.

— Ty, — ozwała się dziewczynka — pocoś tak leciał na oślep, jak zając goniony przez harty?

— O! bo też mię gonił hart, ale o dwu nogach! lecz mu szczęśliwie umknąłem!

— Fe! po jakiemu ty mówisz! A czyjś ty?

— A niczyj!

— Jakto niczyj! — czyż nie masz rodziców?

— Nie! ojciec umarł dawno, matki nie pamiętam.

— Toś ty bardzo biedny! żal mi cię. A jak ci na imię?

— Ludwik!

— Ładne imię! a mnie Zosia. Idę już, bo mamusia będzie niespokojna o mnie, do widzenia! Skinęła mu rączką.

Ludwik stał na ulicy i patrzał żałośnie za oddalającą się dziewczynką, i jakieś nieznane uczucie ruszyło się w jego duszy.

Dziwnem to było widzieć, małą elegancką panienkę rozmawiającą poufale na ulicy z obdartym ulicznikiem.

A jednak nie ślepy traf zbliżył tych dwoje dzieci.

(Dokończenie nastąpi).

Idea.

Kiedy uzmysłowimy sobie glob całego świata, to wiemy, że nie jest on pusty, bezludny, lecz rozmieszczone są na nim liczne państwa, a w nich żyją i działają narody.

Państwa te są różne.

Jedne mniejsze, drugie większe, jedne uboższe, drugie bogatsze, a każde zamknięte jest od sąsiadów granicą pilnie strzeżoną przez wojsko od zarania swych dziejów.

Wewnątrz swych granic każdy naród posiadał i posiada swoją ojczystą ideę.

A gdy otworzymy historję całego świata i będziemy czytać kartę po karcie, dzieje ludów każdego z tych państw, najwięcej znajdziemy walk i bitew, które stoczyły dane narody o własność swej ziemi. W walkach tych narodów wyłania się pierwsza idea: Miłość! — jak ziemi, ojczyzny, mienia. Ale nietylko to, bo gdy głębiej sięgniemy w historję, jej karty wyłonią nam prócz narodów pogańskich, naród chrześcijański, który miłując wymienione idee, kochał najbardziej ideę Wiary świętej i za nią toczył walkę z wrogiem, który ją pokrzywdził. A idea ich będzie rozsiewać złote promienie chwały do końca świata w państwie kościelnem i do gorętszej miłości będzie zagrzewać wiernych jego potomków!

Różne były idee narodów świata.

Jedne godne hańby i zapomnienia, inne wieńca chwały i wspomnienia.

Były, są i będą, gdyż idea ojczysta jest nieśmiertelna! bo jej duch pamięci schodzi z ojców na pokolenie, a z pokolenia znów na pokolenie i t. d. Lecz odradza się czasem w pokoleniach na lepszą, gdy była zhańbiona niedołęstwem ojców, lub zostaje ta sama, gdy i pokolenie jest niedołężnem.

Ale niema prawie państwa, któreby miało od początku do dziś w ustroju wewnętrznym samych idealnych kierowników kraju, bo pośród dobrych znachodzą się i niedołężni, który przerywają z początkiem panowania, w środku, lub na końcu szlachetną nić idei ojczystej...

To też, gdy oczy nasze przejdą karty historji, na których są spisane dzieje nasze — polskie, ujrzymy świetlane idee Chobrego, Kazimierza, Sobieskiego, — ale i ujrzymy przerwane pasmo idei tych wielkich mężów przez niedołężnego Sasa. Traci Polska mienie i wolność, rozszarpana na trzy części przez sąsiednich wrogów, chciwych ziemi.

Lecz idea szlachetnych ojców nie zgasła w pokoleniu. Za winę niedołężnego, brać kochająca niezgłębienie promienne idee nieshańbione, nie przystała na niewolę u wroga.

Żywiąc w sercach tę ideę ojców, zrywała się do walk z wrogiem. I znów rozświetliła się nad polską ziemią jutrzenka idei ojczystej, zapalona przez Kościuszkę i Poniatowskiego, ale zgasła pod wielką przemocą nieprzyjaciela.

Nie — nie zgasła ona, bo idea, jak wspomniałem, jest nieśmiertelna! — lecz przeszła ona na dalsze pokolenie i żywiła ich serca otuchą i nadzieją kołysała dusze przywalone głazem niewoli, po której czarną stopą deptali wrogowie. Wreszcie zerwały się jeszcze raz polskie serca do walki z nieprzyjaciółmi, a ożywieni mocno zdrową ideą ojców, która dała im siły niezłomnego olbrzyma, rozpruszyły wrogów i zaświeciły Ojczyźnie słońce wolności!

Czy na tym narodzie Polski ma skończyć się nasza idea ojczysta?

Nie! — dziś, kiedy mamy utęsknioną wolność, nie wolno nam spać w nadziei, że zło już minęło!

Powinniśmy nadal żywić ideę w sercu uczciwą pracą w wolnej Ojczyźnie. Podnieść ją do potęgi bytu, aby wyrwać z niedoli i nędzy liczne bezrobocie, a miłując niezmiernie sam kraj wyswobodzony, uczmy zdrowo kochać go nasze pokolenie! A gdy hasłem naszem będzie Bóg i Ojczyzna! rozbłyśnie na przyszłość nasza idea ojczysta całą pełnią, a będzie tak promienna, jak słońce nieskalane i ogromne — tak nam dopomóż Boże!

Józef Pachołek.

HOŁD PRUSKI.



Najzaciętszymi wrogami Polaków są od wieków Prusacy. Jak wiadomo, nie są to Niemcy czystej rasy, ale mieszańcy dawnych Prusaków i Niemców, którzy jako zakonnicy zawojowali Prusy, mężczyzn wycięli niemal w pień, a później, gdy przeszli na wiarę luterską, pożenili się z tamtejszemi niewiastami, tworząc niejako nowy naród. Naród ten łączyła jedynie mowa z innymi Niemcami, gdyż charakter ich różnił się od reszty Niemców niemal zupełnie.

W owym czasie, kiedy zakonnicy krzyżaccy porzucili wiarę katolicką, wielkim ich mistrzem był Albrecht. Ten, dopóki był wielkim mistrzem krzyżackim, nie chciał złożyć królowi polskiemu, Zygmuntowi I, przysięgi, jako swemu zwierzchnikowi, chociaż zakon krzyżacki zobowiązał się do tego w pokoju toruńskim w 1466 roku. Kiedy jednak chwycił się nauki Lutra, zrzucił habit zakonny i ożenił się, już jako świecki książę przybył do Krakowa w roku 1525 i tu na rynku publicznie złożył hołd królowi polskiemu, Zygmuntowi I. Tę chwilę odmalował nasz wielki artysta malarz Jan Matejko na obrazie, którego podobiznę podajemy powyżej.

Były zakonnik katolicki, stawszy się wyznawcą nauki Lutra, stał się jej najgorliwszym krzewicielem. Jemu też mają do zawdzięczenia niemal całe Prusy, że dziś mieszkańcy ich są protestantami.

Albrecht umarł w roku 1568. Księstwo pruskie przeszło potem na jego syna i krewnych, elektorów branderburskich, z których powstali królowie pruscy, dokładający wszystkich starań, aby zgubić Polskę. Sami jednak poszli po wielkiej wojnie na wygnanie, a Polska powstała potężna i niezależna i da Bóg, że mimo intryg pruskich, taką zostanie na zawsze.



MACIEK BZDURA GADA:

Ciężkie casy teraz nastały, oj ciężkie! Niby to karnawał, niby czas wesołości, a tej wesołości tak niewiele, ze jaze się płakać chce. Smutni chodzą nas jegomość, smutny pan organista i powiadają, ze jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie zbrankrutować. Bo i jakze nie, kiedy z parafije dochodów jakby nie było. O umrzykach nima co mówić, bo niech se ta ludziska zyją i do sądu ostatecnego, z chrztów, choć ich w Psiej Wólce jest bez liku, prefit prawie zaden, ale najgorzej, ze wesel prawie nima, z których przecie najprędzej da się cosik pociągnąć tak la pana organisty, jak i la jegomości. A tu chłopaki ani rus nie chcą się zenić.

Kaśka powiada, ze ten świat cały jest źle urządzony. Jakby ona była Panem Bogiem, toby tak była zrobiła, zeby nie chłopak oświadcał się do ozeniacki dziewczynie, ale przeciwnie. Wiadoma bowiem rzec, ze jesce na godzinę przed urodzeniem kuzda dziewczyna wygląda z tamtego świata, któryby się jej śturkac uwidział i któregoby mogła la siebie omotać. Jak ino podrośnie, strzyla na tamtego i na tego ślipiami i kuzdegoby rada mieć, ale juz jest takie przykazanie, ze jej tego powiedzieć nie mozna, boby ją ludzie mieli za latawicę i moze jesce za co gorsego. Ceka więc rok, ceka drugi, cnota jej wietrzeje, a na zadnego chłopaka się docekać nie moze.

A chłopaki co? Cy to śnich który patrzy, jaka jest dzieucha w sobie, cy jest cnotliwa na wnątrzu, a urodna na wirzchu? Juści! Patrzy on nie na dzieuchę, ale na tatusiową jałówkę i jakie się tam zytko na morgach jej ojca rodzi. A jak się tam który do jakiej dziopy przycepi, to ino chyba wiecorem i to nie na długą chwilę.

Chodzą więc tak kawaliry, chodzą, całemi latami, a o kościelnem małzeństwie zaden śnich nie myśli. Dopiro jak mu minie śtyrdziestka, a reumatyzm zacyna po kościach chodzić, wtedy zachciwa się mu prawdziwej zeniacki. Ale cy myślicie, ze i wtedy łapie za najśwarniejsą dzieuchę we wsi? Zaś tam! Łapie, ale za najładniejsy ogon jałówcyn.

A i co jesce jest? Taki przechodzony kawaler prawie zawse bierze młodą dziopę. Potem on stary, ona młoda. Kiedy jesce bogobojna, to pół bidy, ale jezeli nie, to zrobi się śniej latawica na obrazę boską i strapienie chłopa. A potem, jak chłop krypnie, to ona la siebie suka młodego i znajduje go często, gdyz nietylko ma doświadcenie w małzeńskiej robocie, ale i to jej pomaga, ze ludzie powiadają, jako u gdowy chleb gotowy. A z takiego drugiego zenienia się, to są potem dziecka i moje i twoje i nase i jesce cyje inkse. A z tego kłopot i strapienie na całem świecie.

Powiada Kaśka, ze jakby od dzieuch zeniacka zalezała, toby nie było tyle dzieci nieślubnych, boby nie potrzebowały dzieuchy uzywać zadnych zakazanych przynęt na chłopaków, ale słaby kuzda do upatrzonego śturkaca i powiadałaby mu: jak chces, to choć najpirw do jegomości, a potem wszyćko zrobi się dokumentnie. Prawda, ze i teraz nima zadnego przepisu, któryby nie pozwalał dzieuse, aby pirsa powiedziała chłopakowi, ze go chce, ale na takie powiedzenie tak, jak jest, nie pozwala jej wrodzona wstydliwość. I latego tez teraz chrzcin tak duzo, a ślubów prawie ze niema.

Moze być, ze Kaśka ma i słusność, ale mnie się widzi, ze niecałkiem. Bo choć dziś nima tego zwycaju, aby się dzieuchy chłopakom oświadcały, to one i tak latają za chłopakami, ze jaze jegomości wargi popuchły od ciągłego kunirowania ich z kazalnice. A coby było, jakby one miały pozwoleństwo na latanie za chłopakami od samego Pana Jezusa. Wtedy zaden źgac nie rusyłby się z chałpy bez pały, którąby się mógł po drodze oganiać od napastujących go dzieuch.

Ja, jakbym rządził znowu światem, to zrobiłbym to inacej. Co roku na Godnie święta zwołałbym wszyćkich dwudziestośtyroletnich chłopaków i osiemnastoletnie dziopy do wójta z całej wsi i kazałbym jem kartki ciągnąć, która się któremu trafi. Losem połącone pary zagnałbym do jegomości, zeby wywołali opowiedzi, a potem wesela i koniec. Te, coby zostały bez losu, bo wiadomo, ze w kuzdej wsi jest więcej dzieuch, jak chłopaków, musiałyby se radzić potem, jakby mogły, a ta reśta nie potrzebowałaby zadnych śtucek uzywać, bo i bez ich turbacyje wszyćkibym pozenił.

Powiadacie, ze takie wylosowane małzeństwa psu na butyby się zdały? Bajki! Abo cy to dziś i tak nie los scęściá, abo niescęścia zrządza jaki jakiej, a jaka jakiemu się trafi. I tak, jak dziś jest, nima nawet na kogo narzykać, a wtedy moznaby przynajmniej ślepy los przeklinać, a jak ma kto na kogo przeklinać, to mu w kuzdym razie lzej na sumieniu.



Bajka zimowa.

Puchowy śnieg biały na ziemię spada,
I cicho coś szemrze — baśń taką układa:
Na świecie jest zima... tak smutno o Boże!
Że tyle bezdomnych... w zimowej tej porze;

Że tyle bez pracy, że tyle bez chleba,
Że wszystkim nieszczęsnym nieść pomocby trzeba!
Tu ogień spopielił — tam woda zabrała...
Niejedna rodzina bez dachu została...

Gdzieś znowu brak pracy — redukcja bez końca,
„I głodno i chłodno"... ni chleba, ni słońca...
Tak zimno wokoło — śnieg pada i pada,
I z łez tych, co marzną... bajeczkę układa,

Uderza o szyby, i woła i budzi,
O pomoc i pamięć dla biednych tych ludzi:
Maleńką ofiarę... niewiele potrzeba;
Tu grosik dorzucić, tam kromkę dać chleba...

I w jedno kolisko połączyć trza dłonie
A ciepłe ognisko dla wszystkich zapłonie...
Cichutko śnieg pruszy, po sennej dolinie,
I marzy... o ludzkiej, o jednej rodzinie.

Kachna Ł. Łza.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Wybrzeża Niewolnicze. IV.



Widok Abeokuty.

Jak to zaznaczyliśmy w jednym z poprzednich numerów „Roli“, nieliczna murzyńska ludność Wybrzeży Niewolniczych mieściła się dawniej w jaskiniach i pieczarach, trudniąc się napadami na przejeżdżające karawany. Dopiero z czasem bandy te poczęły się gromadzić i zakładać osady, wskutek czego ustały rozboje, a zaczęło się życie normalne. Tak też powstało miasto Abeokuta. (Abe znaczy: pod; okuta: kamień). Nazwa jego pochodzi od skał granitowych, gęsto tu rozrzuconych, do których przyparte są wszystkie prawie domy. Obwód miasta ma 40 kilometrów długości, otoczone jest głębokim rowem i wałem ziemnym. Domy są zbudowane z gliny i pokryte słomą. Każdy dom, a raczej każde mieszkanie, składa się z kilku budynków, zbudowanych w kwadrat i ma kilka wejść. Zwierzęta domowe chodzą swobodnie po ulicach, które są brudne i ciasne; po każdej burzy i deszczu uliczki przemieniają się w strumienie. Miasto dosyć rozległe, złożone z kilku tysięcy domów, podzielone jest na okręgi. Każdego dnia w innym okręgu odbywają się targi, na które okoliczna ludność znosi żywność i wyroby krajowe.

Mieszkańcy Wybrzeża Niewolniczego lubią się stroić. Tak kobiety, jak i mężczyźni w dziecięcych latach bywają naznaczone na twarzy trzema rysami równoległemi, które po zaróśnięciu pozostawiają szramy. Nadto kobiety przekłuwają sobie uszy tak, aby otwory w nich były zdaleka widoczne. Do otworów tych zakładają ozdoby z drzewa, grube na palec. Niektóre w celu podniesienia swych wdzięków noszą nawet u nosa ozdoby koralowe. Tak kobiety, jako i mężczyźni nakładają na szyję i ręce, poniżej i powyżej łokcia, obręcze metalowe, które służą do ozdoby, jak również i do nabożeństwa fetyszowego.



Wystawienie zwłok dłużnika.

W 14 roku dziewczyna wychodzi zamąż i otrzymuje srebrną branzoletę. W Abeokucie istnieje wielożeństwo; liczba żon zależy od zamożności, gdyż każdą trzeba kupować, a przynajmniej opłacać podarunkami, i to jest przyczyną, że mało znajduje się tu takich, którzyby więcej nad dwadzieścia żon posiadali.

Niewolnictwo idzie w parze z wielożeństwem. Niewolników nabywa się przeważnie podczas wycieczek wojennych. Całe plemiona uprowadzają się wówczas w jasyr. Można też nabywać niewolników na targach.

Fetyszyzm, zresztą jak wszędzie w Afryce, wywołuje tu najhaniebniejsze namiętności. Pijaństwo, rozpusta i mordy są pospolite. Codziennie są przykłady otrucia; trują siebie samych w przystępie szału, trują innych z najgłupszego fanatyzmu lub z nienawiści. Wszelkie ślady wyższego poczucia moralnego są tu zatarte. Ale ponieważ ludzie coś cenić muszą, otóż jedyna rzecz, o którą dbają, jest przyzwoite pochowanie zwłok zmarłych. Może być kto oszustem i ostatnim zbrodniarzem, to jeszcze nie czyni ujmy rodzinie, ale nie pochowanie zwłok piętnuje wszystkich pozostałych członków rodziny niezmytą hańbą.

Pozostają bez pogrzebu wszyscy zbrodniarze, na których został wykonany wyrok śmierci, jakoteż dłużnicy, dopóki rodzina ich nie uiści długu wierzycielom. Takiemu dłużnikowi przygoto-

wują rodzaj łoża na czterech kołkach ponad wodą, gdzie leży tak długo, póki dług nie zostanie spłacony. Łoże takie widzimy na drugim naszym obrazku. Jest to urządzenie bardzo praktyczne, gdyż w psującem się ciele lęgną się robaki, które za lada poruszeniem się spadają do wody, gdzie je zjadają ryby, służące znów później za pożywienie ludziom. I nieraz taki dłużnik, prócz kości, zostaje pośrednio przez wierzyciela zjedzony. (Wprawdzie i u nas wierzyciele zjadają często dłużników, ale w inny sposób).

Królowi po śmierci ucinają głowę, która dla jego następcy będzie stanowiła przedmiot czci, czyli tak zwany fetysz; ciała zaś chowają w ziemię, którą miał za życia w swem posiadaniu.

Do Abeokuty strach nieraz zaglądnąć, dzieją się tam bowiem sceny, krew w żyłach mrożące. Do częstych zjawisk można bowiem zaliczyć uganiających po ulicach murzynów, skropionych całych krwią, uganiających za ofiarami swej zemsty, nienawiści lub skazanymi na śmierć przez licznych czarowników i czarownice. Mściciele ci z rozczochranemi włosami, oczyma rzucającemi demoniczne spojrzenia, wyjący chrapliwie i dziko pędzą nieraz z głowami swych ofiar, zatkniętymi na tyki, lub drgającemi jeszcze członkami nieszczęśliwych istot.

Odbywają się tu jeszcze i inne sceny krew w żyłach mrożące. Oto tu palą żywcem jakąś fetyszkę do słupa przywiązaną, a tam zmuszają murzyna do pożarcia własnych uszów, które mu codopiero odcięto, a gdzieindziej znowu... Ale dość! Rzućmy zasłonę na ten oburzający widok, który nas odrazą przejmuje! Wszak u nas nigdy coś podobnego stacby się nie mogło, gdyż my jesteśmy ludźmi cywilizowanymi i w delikatniejszy sposób potrafimy się nawzajem zabijać!

Co zresztą wychodzi na jedno!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Rozsrożony do najwyższego, posłał starościc swych olbrzymich kozaków, ci i djabła na rękach przynieśliby z piekła, toż w jednej chwili za kołnierz w powietrzu przystawili Ołańczuka do dworu. Ale Ołańczuk i wobec groźnego dziedzica nie spuścił bynajmniej z swego zuchwałego tonu a nie zważając na obecnych kozaków, rzucił się znienacka na nieprzygotowanego starościca, i nim jeszcze kozaki mogli przyskoczyć w pomoc, porwał go za gardło i powalił na ziemię. Djablo jednak źle wyszedł na swem zuchwalstwie. Jak go pochwycili obadwaj kozacy, to nimby dziesięć mógł zliczyć, dostał już sto kijów odlewanych i bez przytomności prawie leżał na ziemi. Ale wszystko to nie ostudziło wściekłości starościca.

Mandatarjusz ciągnął dalej opowiadanie:

— Starościc kazał na pół nieżywego odnieść do mnie do aresztu i groził codziennie dopóty powtarzać tę operację, dopóki nędznik ducha nie wyzionie.

— I byłby pewno dotrzymał słowa — mruknął Girgilewicz.

— Niezawodnie — przyznawał mandatarjusz — ale snać sam Pan Bóg chciał oszczędzić mu zbrodni. Gwałtowne wzburzenie tego dnia było za mocnem nawet na jego żelazną naturę. Pod wieczór dostał silnej gorączki a nazajutrz rozniemógł się naprawdę, że co tchu potrzeba było posyłać po doktora. Kilka dni trwało niebezpieczeństwo życia. Starościc nabawił się nerwowej febry, a w gorączce nie poznawał nikogo i bredził od rzeczy. Tym sposobem upiekło się Ołańczukowi. Miał szczęście łotr! Kilka dni jeszcze przytrzymałem go na czystym rosole w areszcie, a kiedy przyszedł wreszcie do siebie, pozwoliłem mu uciec na cztery wiatry. Raz...

— Ale starościc... — przerwał Katilina.

— Starościc panie ocalał od śmierci, ale sześć tygodni musiał przeleżeć w łóżku. W tym czasie zjawił się ni stąd ni zowąd jakiś kwestarz we dworze.

— Kwestarz? — powtórzył Katilina.

— Tak niby kwestarz, niby pustelnik, dość że w sukni zakonnej. Ktoś wpadł na myśl, czy nie potrafiłby on rozerwać na chwilę chorego. Kwestarz podjął się chętnie tego zadania. A jak poszedł do pokoju chorego, to zabawił aż do późnego wieczora. Nazajutrz miał odejść, ale starościc cały dzień zatrzymał go przy sobie. Tak samo stało się w dzień trzeci i czwarty i kwestarz na piękne rozkwaterował się we dworze. Z początku bawił chorego samą tylko rozmową, ale następnie zaczął mu czytywać rozmaite jakieś książki, a rzecz szczególna, starościc, co jak ognia bał się wszelkiego pisma, słuchał z coraz większem upodobaniem. Kwestarz ani na chwilę nie oddalał się od jego łóżka, a kiedy potem czytał lub mówił, nie mógł nikt być w pokoju. Tak przesiedział dwa tygodnie przy chorym, a potem znikł jakby go nie było. Starościc podźwignął się z łóżka i napowrót objął gospodarstwo. I nagle ani go poznać! Przeinaczył się jakby go kto zamienił! Z dawnego wilka jakby cudem zrobił się baranek, z sokoła gołąbek!

— I zapewne pogodził się z bratem? — zapytał Katilina.

— O nie — zaprzeczył prędko mandatarjusz. — Jak się bowiem pokazało z jego urywanych słów w gorączce — dodał ciszej — nienawiść ta obydwu braci miała swoje słuszne powody. Chodziło tu podobno o Xeńkę.

— O jaką Xeńkę?.

— Musisz pan wiedzieć — szepnął mandatarjusz z uśmiechem politowania — że starościc zakochał się był w swoich dwudziestu dwóch latach.

— W Xeńce?

— W Xeńce, najładniejszeje dziewce całego klucza, córce Hrycia Syłozuba, gumiennego ze Sołomek.

— A onaż?

— Jej pochlebiało oczywiście, że straszny dla wszystkich starszy panicz, tak słodkie do niej robi oczy, więc nawzajem przymilała mu się wszelkiemi siłami. Niebawem doniosło się to do dworu, pani starościna chciała robić jakieś przedstawienie pasierbowi, ale to było jak groch o ścianę. Nie wskórawszy nic z tej strony, chciała się starościna choć już trochę zapóźno wziąć do Xeńki, ale panicz przeszkodził wszystkiemu, bo wyprawił dziewkę do Deminiec, gdzie wuj jego faworyta, kozaka Kostia Bulia, osiadł na sołtysowskim gruncie. Tam nie mogła jej dosięgnąć starościna, a panicz podjeżdżał codziennie nieulękniony. Wtem Xeńka znikła nagle bez wieści.

— Starościna ją porwała? — zawołał Katilina.

— Sama uciekła! Chciała zapewne hołdów panicza, ale tam, gdzie ten panicz miał tak wielkie

znaczenie i gdzie tak wielki przed sobą rozsiewał postrach: tymczasem w nowym jej przybytku znikł jego urok, a pozostała tylko twarz brzydka i niemiła. To też prędko sprzykrzył jej się ten cały stosunek, a pewnego pięknego poranka spakowała swoje manatki i znikła gdzieś bez wieści.

— I cóż na to starościc?

— Mało nie oszalał w pierwszej chwili, ale po kilku tygodniach jakoś się opamiętał. Bratał się coraz otwarciej z chłopami, a pewnego pięknego ranku ledwie co wstałem z łóżka i zabrałem się najspokojniej do kawy, aż tu trzask, prask, dwa powozy zajeżdżają przed dominium. Z powozu wysiadali pan komisarz cyrkularny z lansdragonem i pan konsyljarz kryminalny, dwaj najzdatniejsi urzędnicy w całym obwodzie. Dla Boga cóż się stało! — pomyślałem na pół nieżywy. Nim jeszcze miałem czas wyjść naprzeciw nich, już obadwaj wpadli do kancelarji i w tej chwili przy zamkniętych drzwiach rozpoczęli mnie zapytywać to o to, to o owo, to tak to owak, aż wreszcie połapałem się o co chodzi. Szukali tropu owego kwestarza, co podczas choroby starościca pojawił się we dworze.

— Tam do kata! — wykrzyknął Katilina.

— Ów kwestarz — dorzucił po chwili mandatarjusz (wysłaniec polityczny) z Paryża. Starościc jednak snać przewidywał takie następności, bo właśnie przed tygodniem wyrobił sobie był paszport zagranicę, a teraz kiedy cała sprawa coraz gorszą zaczęła przybierać postać, drapnął nagle z swymi oby, dwoma kozakami, że się tylko kurzyło za nimi.

— I cóż dalej? — zapytał Katilina nie zważając na to.

— Resztę dowiesz się pan najlepiej od samego jaśnie wielmożnego pana, który jest jego przyjacielem. Po roku niebytności starościca, zawezwał go rząd krajowy publicznemi dziennikami, że jeśli w rok i tydzień nie powróci, postrada prawo obywatelstwa w państwie autrjackiem, a tem samem i majątek jego przejdzie na prawych spadkobierców. Nim jeszcze upłynął termin, wyczytaliśmy w dziennikach, że w Dreźnie umarł nagłą śmiercią jakiś znamienity Polak, imieniem Mikołaj Żwirski. Na tę wiadomość hrabia Zygmunt jako prawy spadkobierca natychmiast objął administrację całego klucza. Nagle jednak i niespodziewanie pojawił się Kost' Bulij w Żwirowie i jednem słówkiem obalił wszystkie nadzieje hrabiego. Nieboszczyk starościc zostawił testament, którym cały majątek zapisał komu innemu.

— A tym innym był mój Julek, — zawołał Katilina. — Lecz cóż na to hrabia Zygmunt?

— Z początku chciał podobno wszczynać proces, ale się prędko odradził i poprzestał na swojem Orkizowie.

— A skądże do djabła Juljusz przyszedł do tej łaski u starościca?

— Tego się pan tylko od niego samego możesz dowiedzieć. Jest podobno nietylko imiennikiem ale i jakimś dalekim krewnym starościca, a ojciec jego miał nawet być w przyjaźni z nieboszczykiem starostą.

— Hm, hm — mruknął Katilina, jakby niezupełnie jasno pojmował stan rzeczy.

— Nowy dziedzic objął cały klucz z wyjątkiem żwirskiego dworu. Starościc położył jako główny warunek testamentu, aby Zaklęty Dwór aż do zupełnej ruiny pozostał niezamieszkany i nietknięty zgoła w swem urządzeniu. Straż nad nim poruczył Kostiowi Bulinowi, przeznaczając mu na mieszkanie dom dawnego ogrodnika w zatyle ogrodu. Samo to już szczególniejsze postanowienie rzuciło pewien cień tajemniczy, pewien urok na opuszczony, ponury z powierzchowności dwór.

— I stąd zapewne urósł i jego przydomek i rozszerzył się popłoch między prostym ludem!

— Sto ludzi postawię — odezwał się ekonom — co się własnemi przypatrywali oczyma, jak nieboszczyk na czarnym jak smoła koniu jakieś opętane harce wyprawiał na dachu swego dworu.

— A pan sam nie widziałeś nic zgoła — zapytał Katilina ekonoma.

— Ja nie, ale czego tu ukrywać, pan sędzia widział.

— Co pan, panie Gągolewski?

Mandatarjusz zmieszał się strasznie i spojrzał gniewnie na ekonoma, jakby mu chciał wyrzucać, że zdradził tajemnicę, poczem odchrząknął, odkaszlnął i nareszcie ozwał się dopiero po krótkiej chwili:

— Było to prawie o tym samym czasie zeszłego roku... a gdy miałem komisyjkę małą i bawił u mnie młody praktykant z cyrkułu, pan Józef Minsowicz, zapalony miłośnik skrzypców i polowania. Pewnego dnia wybraliśmy się po południu na krzyki aż pod Zawałówkę, o dobre trzy mile stąd. Kilka godzin brnęliśmy po kolana w błocie, a licho nadało, że ani wrona się nie pokazała! Znużeni, zniechęceni mieliśmy wracać do domu, kiedy zaproponowałem wstąpić na przekąskę do zawałowskiego proboszcza... Na probostwie zatrzymaliśmy się do późnej nocy i dopiero po jedenastej wracaliśmy wozem do Buczał. Prawie o samej dwunastej stanęliśmy na zakręcie lipowej ulicy, która prowadzi do dworu. Mimowolnie jakoś rzuciłem okiem w tę stronę i krzyknąłem na pół z przestrachu na pół ze zdziwienia. Zdawało mi się, że widzę światło w lewem skrzydle dworu. To samo przywidziało się naszemu furmanowi, ale komisarz upierał się na zabój, że to tylko odblask księżyca. Ja z grzeczności nie chciałem się sprzeciwiać, ale komisarz mimo to uwziął się przekonać nas dowodnie, że się próżnem łudzimy przywidzeniem. Rozkazał więc jechać ku dworowi. Napróżno składał i wymawiał się biedny woźnica, napróżno ja sam prosiłem i przedstawiałem. Komisarz nie odstąpił od swego i otóż nagle ni stąd ni zowąd znaleźliśmy się pod bramą dworu. I oto nagle... nagle rozwarły się z trzaskiem drzwi a na balkonie ukazał się starościc jak żył i wyglądał za życia. Skamienieliśmy z przestrachu. Starościc chwilę stał niemy i nieruchomy na miejscu, a potem zniknął nagle, jakby się w ziemię zapadł. Uciekaliśmy, że się tylko kurzyło za nami. A przez całą drogę szumiało nam wszystkim w uszach, jakgdyby ktoś pędził za nami.

— I odtąd uwierzyłeś pan już w stracha Zaklętego Dworu?...

— To jest odtąd przestałem naigrawać sobie z niego.

Katilina powalił się napowrót na sofę i w jakieś głębokie wpadł zamyślenie.

— Dziwna rzecz! — mruknął po chwili. — W tem wszystkiem tkwi jakaś szczególna tajemnica! Ah! — zawołał nagle, jakgdyby sobie coś przypomniał — ten tajemniczy obdartus pod krzyżem, to Mykita Ołańczuk! tak... przypominam sobie to nazwisko! Otóż jedno już zrozumiałem, resztę trzeba dopiero odgadywać...

Rzekłszy to, Katilina pożegnał towarzyszy i udał się na spoczynek.

V.

W oparkowskim dworze.

Wielka i zamożna wieś Oparki, leżała o niespełna pół mili od Buczał w powabnej i dość rozległej dolinie, przypartej z jednego boku do szerokich smug lasów, a opasanych z trzech stron innych prądem małej, w Dniestr wpadającej rzeczki.

Pałac oparski, siedziba dziedzica, wznosił się na małym pagórku o dobrą staję ode wsi, do której cienista lipowa prowadziła ulica.

Było już dobrze z południa nazajutrz, po owym wieczorku u mandatarjusza, kiedy przed ganek pałacu zatoczyła się prosta chłopska fura a z niej raźnie i zwinnie wyskoczył nasz barczysty, awanturniczy nieznajomy z ryczychowskiej karczmy.

Kiedy skoczył z woza, zawahał się na chwilę w ganku, i niekoniecznie zadowolony obejrzał się dokoła.

— Niema co mówić — szepnął — brakuje mi tylko stryczka na szyi, a każdyby przysiągł, żem się urwał z szubienicy. Jak też mię on przyjmie! koleżeństwo szkolne, przyjaźń koleżeńska! jakieżto głupie wspomnienia po kilku latach niewidzenia i przy zupełnie zmienionych stosunkach towarzyskich.

Nagle wstrząsł się cały, jakby gwałtem odpędzał od siebie wszystkie nieprzyjemne myśli i przypuszczenia, i głośnym wybuchł śmiechem.

W tej właśnie chwili lokaj ukazał się w sieniach i prawie z przestrachem wytrzeszczył oczy na nieznajomego.

— Pan w domu, błaźnie? — huknął Katilina gromowym głosem, aby sobie zaraz z góry nadać należytej powagi.

— Czego pan chcesz? — zapytał tenże zuchwale.



Ujrzał się silnie pochwycony za kołnierz.

Katilina zamiast odpowiedzi, przystąpił bliżej do niego, wyciągnął rękę znienacka i nim jeszcze zagapiony tym ruchem lokaj, mógł zmiarkować o co chodzi, ujrzał się silnie pochwycony za kołnierz i w jednem mgnieniu oka trzy razy zwinął młyńca w powietrzu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przyszedł.

Już rok przeszło jak pojechał. Nie został dłużej, gdyż obowiązek mu nie pozwolił. Urlop się kończył.

Przyjechał do ojczyzny ojców swoich. Przyjechał zwiedzić i poznać kraj, o którym tak dużo słyszał. Przyjechał odwiedzić krewnych, których nie znał.

Lubieli go wszyscy bardzo, lubieli młodzi i starzy, krewni i nie. Czyżby dlatego, że nie żałował pieniędzy? A może dlatego, że był niezwykłej urody? Nie brakowało mu towarzystwa, z którem spędzał miło chwilę.

Poznał i odróżnił kobietę o oczach melancholijnych, o rzęsach długich, jedwabistych. Spędzał z nią nieraz długie chwile, opowiadając jej o meksykańskich puszczach i górach, lasach i wodach. A ona wsłuchana w jego słowa przeczuwała trwogę, a oczy zalewała rosa łez. Pytał się jej wtenczas, co jej jest, ale ona prosiła, by dalej mówił, o ludach i zwyczajach meksykańskich. Czuła jakoś dziwną sympatję do niego. On jej mówił dużo, lecz nie wierzyła mu. Bała się światowca. Obiecał przyjechać na przyszły rok na święta Bożego Narodzenia, wziąć ślub z nią i zabrać ją do swych rodziców. Pożegnał ją i odjechał.

Rok upłynął właśnie od tej chwili. Ona sama siedzi, a myśl jej uleciała daleko, poza morza, do meksykańskiej ziemi, do ukochanego. Obiecał przyjechać, a nie ma go. Jakieś złowieszcze przeczucie ogarnęło ją. Czuła jakiś niczem nieuzasadniony niepokój, który przenikał całą jej istotę.

— Dziś przyjść musi — mówiła szeptem.

— Nie przyjdzie — mówił głos strwożonej duszy.

— Czekać będę do rana i nie zamknę oka — szeptała.

— Naprózno — odezwał się ten sam głos ukryty w głębi jej istoty.

Ogarnął ją przestrach. Wicher zawył strasznie w kominie.

— Nie boję się: czekać będę, on przyjdzie.

— Nie, nie, nie! — zachichotał wściekle wicher i uderzył w szyby, które zadrżały.

Wtem odezwał się dzwon kościelny. Północ się zbliża. O dziwnie jakoś, dziwnie... Po ciele jej przeszedł dreszcz. Knot naftę wyssał, lampa zgasła.

— Nie boję się...

Zamknęła oczy i wołała:

— Przyjdź! Przyjdź! Za małą chwilę przyjdź. Przyjdź z drugiej półkuli świata! Przyjdź w poszumie wichru. Przyjdź w całunie śniegu. Zaklinam cię, przyjdź, bo cię chcę zobaczyć. Chcę!...

Podniosła zmęczone powieki i... uczuła na czole lodowaty, długi pocałunek. Chciała wstać — nie mogła.

— On!

Strętwiała.

— Przyszedłem, obiecałem być i oto jestem.

Otwarła oczy i zobaczyła go. Cofał się twarzą do niej, odwróconą z odsłoniętą piersią z ranami krwawemi.

— Zabili mnie za wiarę, za Chrystusa. Zabili mnie meksykańscy prześladowcy.

Cofał się, ginął rozpływał się w brzasku zorzy wpadającej przez okno.

Ona pobiegła za nim, wyciągnęła ręce.

— Zostań!...

Lecz zdala usłyszała tylko raz jeszcze jego głos, podobny do lekkiego tchnienia wietrzyku:

— Przyszedłem. Pamiętaj o mnie... i módl się za mną. Pamiętaj! Pamiętaj!

— — — — — — — — — — — — — — —

Na niebie różowił się świt, a ona leżała nieprzytomną na podłodze.

Maryśka z Kamionki.



Poradnik gospodarczy.

Gruźlica u zwierząt.

Tak samo, jak człowiek, mogą i zwierzęta chorować na gruźlicę, czyli suchoty. A gruźlica u bydła szczególniej jest wielką stratą dla rolnika i niebezpieczeństwem dla niego i jego rodziny. Bo nietylko rolnik może stracić chore bydlę, ale mlekiem od suchotniczej krówki może się sam zarazić i nabawić strasznej choroby.

U bydła gruźlica występuje w formie otwartej i ukrytej. Bydło wzbudza podejrzenie o gruźlicę otwartą, jeżeli daje się zauważyć następujące objawy: a) Pokasływanie, nie wywołane zewnętrznemi przyczynami przy braku objawów innych chorób narządów oddechowych. b) Twarde, niebolesne guzy, albo obrzęki jednej lub kilku ćwiartek wymienia o normalnej ciepłocie, połączone z powiększeniem nadwymieniowych gruczołów chłonnych, które jednak w sposób widoczny nie wpływają na mleczność. c) Wzmożony lub nieregularny popęd płciowy, niepłodność, nieznaczny śluzowo-ropny lub czysto ropny wypływ z pochwy, przy jednoczesnem obrzmieniu gruczołów biodrowych. d) Przewlekłe rozwolnienie przy złym stanie odżywiania i przy braku innych przyczyn rozwolnienia, jak pasza rozwalniająca lub objawy innych chorób jelit. W tych wypadkach bydlę może być podejrzane śmiało o gruźlicę otwartą, zależnie od objawów: płuc, wymienia, macicy, lub jelit.

Oprócz tego bydło rogate należy uznać w wysokim stopniu za podejrzane o gruźlicę otwartą, jeżeli oprócz zmian podanych wyżej, zostaną stwierdzone następujące objawy: a) rzężenie na większej powierzchni płuc (przy wysłuchiwaniu płuc), napady przytłumionego kaszlu; b) przy ogólnem wychudzeniu wyczuwamy twarde, wyraźnie odgraniczone guziki w powiększonych gruczołach chłonnych nadwymieniowych; c) stwardnienie rogów macicznych; d) przewlekłe rozwolnienie, znaczne wychudzenie i wyraźnie odgraniczone guziki w gruczołach chłonnych kreskowych.

Ostateczne stwierdzenie gruźlicy otwartej u bydlęcia jest bardzo trudne, ale jeżeli tylko zauważy się objawy tej gruźlicy, trzeba prosić weterynarza o zbadanie bydlęcia, a gdy ten stwierdzi, że bydlę jest chore na gruźlicę, trzeba jak najspieszniej takiego bydlęcia się pozbyć.

Suchoty, czyli gruźlica, występuje także u drobiu, a zwłaszcza u kur i wyrządza olbrzymie straty w gospodarstwach. Śmiertelność jest bardzo duża. Chorobę tę wywołują laseczniki czyli bakterje ptasiej gruźlicy. Zaraza najczęściej rozszerza się wtedy, gdy się chore sztuki dorzyna, a wnętrzności ich wyrzucone na podwórze są zjadane przez zdrowy drób. Gruźlica szerzy się jeszcze przez dziubanie kur w różnych miejscach nieczystych, zabrudzonych odchodami chorych sztuk na gruźlicę, w których znajdują się ogromne ilości laseczników.

Objawy gruźlicy u drobiu są mało uchwytne, — nietypowe i nie zawsze wyraźne. Głównie rzuca się w oczy to, że pomimo dobrej karmy i apetytu, kury stale chudną, bledną im grzebienie, następstwem czego jest śmierć przy zupełnem wycieńczeniu. Po zarżnięciu chorej sztuki zasadnicze zmiany chorobowe znajdujemy na wątrobie. Występują tam guziczki białego koloru różnej wielkości, od łebka szpilki do wielkości ziarnka grochu. Oprócz tego przy badaniu kiszek zauważyć się dają w niektórych miejscach owrzodzenia.

Wszelkie leczenie gruźlicy drobiu jak dotychczas nie dało rezultatu. Głównem przeto zadaniem hodowcy jest tylko zapobieganie tej chorobie. W tym wypadku zaleca się przedewszystkiem przestrzeganie czystości w kurnikach, niedopuszczanie do nagromadzenia się w nich wszelkich nieczystości; nie powinno się trzymać za dużo drobiu w kurnikach, a także jak najdłużej trzymać ptactwo na powietrzu. W razie ukazania się podejrzanych objawów, chore sztuki należy natychmiast dorzynać; wnętrzności z chorych sztuk nie wolno wyrzucać na podwórko, lub dawać do zjedzenia kurom. Wnętrzności te muszą być spalone, lub zakopane głęboko. Kurniki należy często bielić i dezynfekować, oczywiście uprzednio dokładnie oczyściwszy z brudu i kurzu.

Gruźlicy ulegają też kaczki i gęsi, jednakże w mniejszym stopniu.

Poradnik lekarski.

Czerak, zwany także często świniakiem, tworzy się najczęściej na karku i jest zaraźliwy. Chcąc go wyleczyć, należy robić okłady z siemienia, bułki z mlekiem i szafranem. Przykładać na szczycie czeraka dwa razy dziennie, a gdy pęknie, wyciskać zeń ropę i obmywać co 2 godziny spirytusem i okładać gazą. Pić herbatę z bratków, chmielu, liści orzecha włoskiego lub sarsaparylli.

Ból brzucha. Często u ludzi dorosłych jak i u dzieci następuje w okolicy pępka i poniżej ból brzucha, który nie ma nic wspólnego ani z zatwardzeniem, ani z rozwolnieniem. Zdarza on się u osób nerwowych, histerycznych a także z powodu przeziębienia, spożycia pokarmów wzdymających, wskutek wzruszeń oraz wielu chorób organów brzusznych. Skutecznym środkiem są ciepłe okłady, ewentualnie ciepłe kąpiele. Brzuch trzeba smarować ciepłą oliwą lub innym tłuszczem, pić herbatkę z ziół. Potem, celem zapobieżenia nawrotom, pić czas dłuższy herbatkę z pokrzywy, krwawnika, podbiału, bzu; w razie zatwardzenia łagodny środek przeczyszczający, lub lewatywa.



Myśli.

Że poprawiasz twych braci,
Zapiszą to w niebie —
Lecz by braci poprawiać
Zacznijmy od siebie.

Gdyś więcej posiadł nauk
I więcej rozumu,
Więcej żąda od ciebie
Bóg niźli od tłumu.

Gdy więcej człowiek umie
Taki to świat Boży —
Więcej go rozumie
I więcej się korzy.

Wtedy poznasz człowieka,
Czy on szuka cnoty,
Gdy bez skargi szemrania
Znosi trud — kłopoty.

Wincenty Kuglin.

KRONIKA.

Pochód zimy. Zima, której przebieg w grudniu i styczniu był nadzwyczaj łagodny, w ubiegłym tygodniu wzmogła się znacznie. Pola okryły się śniegiem, a mróz dochodził nocami do kilkunastu stopni. W dzień jednak ciepłe promienie słońca łamały szybko mroźny ziąb nocy i tchnęły w powietrze przedsmak zbliżającej się wiosny. Gorzej jest gdzieindziej. Oto z Hiszpanji donoszą, że panują tam nienotowane od lat wielu zimna. W całym kraju szaleją niebywałe śnieżyce, które uniemożliwiają komunikację kolejową. Również silne mrozy rozsrożyły się i na północ od nas. Jak donoszą z Rygi, Łotwę nawiedziły silne mrozy, wskutek czego zatoka Ryska coraz bardziej zamarza, wskutek czego żegluga jest tam znacznie utrudniona. W zatoce rozpoczęły pracę łamacze lodów. W Irkucku, na Syberji, panują mrozy dochodzące do 30 stopni.

Wiejski Uniwersytet ludowy w Szycach (poczta Modlnica k. Krakowa) otwiera 15 marca b. r. zwyczajny cztero miesięczny kurs wiosenny dla młodzieży żeńskiej ze wsi w wieku powyżej lat 17. Zadaniem zakładu jest pomagać człowiekowi wsiowemu być pełnym sobą, a we wsi obudzić honorność odnawiania życia Polski młodym duchem. Dokładnych wiadomości o kursie udziela dyrekcja i przyjmuje zgłoszenia do 5 marca b. r.

Prezydent Estonji w Warszawie. W ubiegłym tygodniu gościła Warszawa niezwykłego gościa. Był nim prezydent republiki estońskiej Dr. Otto Strandman. Przyjmowano go bardzo serdecznie, jako szefa państwa usposobionego życzliwie dla Polski, choć znacznie od niej mniejszego. Z okazji tej przytaczamy poniżej hymn narodowy estoński, który świadczy o wielkiej miłości Estończyków ku swej ojczyźnie. Brzmi on: „Ojczyzno, cudnych pełna kras, Tyś szczęściem wszystkich nas. Choć świat miejsc pięknych wiele zna, tak nigdzie serce me nie drga, bo w Tobie jest miłości zdrój, najdroższy kraju mój! Ojczyzno, tyś jest matką mą, pod pieczą wzrosłem Twą. Wdzięczności pełen aż po grób, wierności Tobie składam ślub, bo wielbię czar i urok Twój, najdroższy kraju mój! Niech Bóg nad Tobą pełni straż, najdroższy kraju nasz. Niech będzie zawsze tarczą Twą i błogosławi łaską swą Twych synów każdy trud i znój, najdroższy kraju mój!“ Prawda, że jest to przepiękny hymn, który tchnie tak wielkiem ukochaniem swej Ojczyzny, jak może żaden z innych hymnów narodowych. Może ktoś z naszych Czytelników ciekawy, jak hymn ten brzmi w języku estońskim, dlatego pierwszą jego zwrotkę przytoczymy po estońsku, a mianowicie: „Mu isamaa, mu onn ja room, kui kaunis oledsa'Ei leia mina iial teal see suure iaia ilma peal mis mol nii armas oleksa, kui sa mu isamaa!“ Dla nas to brzmi nieco dziwnie, a dla nich tak pięknie, jak dla nas po polsku. Przy sposobności zaznaczyć należy, że my, Polacy, tak zasobni w piękne utwory poetyczne i muzyczne, właściwie hymnu narodowego nie mamy. Bo piękny wprawdzie Mazurek Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła...“ jako utwór okolicznościowy z lat ubiegłych, nie odzwierciedla tego, co my dziś myślimy i czujemy. Śpiewana i grana często pieśń „My pierwsza brygada“ również nie może być hymnem ogólnonarodowym, gdyż nie wyraża uczuć całego narodu. Nie może nim być również pieśń niewoli: „Boże coś Polskę“. Nie mamy więc właściwego hymnu narodowego, a byłby czas, aby się Polska na niego zdobyła i jak najszerzej rozpowszechniła.

Wzorowy poseł. Do sejmu naszego w Warszawie jest posłem także niejaki Baćmaga, który nim został posłem był wójtem w jednej z wsi województwa kieleckiego. Otóż tego posła oskarża prokuratorja „tylko“ o sześć zbrodni, a mianowicie o zbrodnię podpalenia, oszustwa, pomocy w kradzieży, defraudację składek kościelnych i defraudację popełnioną na stanowisku wójta w kwocie około 12 tysięcy z kasy gminnej. Oczywiście pan poseł chodzi sobie wolno po świecie, zasiada w sejmie, gdyż jako poseł jest nietykalny. Niedługo to jednak potrwa, gdyż sejm pana posła wyda sądom i pan Baćmaga zamiast na ławie poselskiej zasiędzie w kryminale. Ale są w sejmie i inni posłowie, którzy nie tam, ale w kryminale siedzieć powinni. Jeżdżą oni po wsiach i miastach, podburzają naród przeciw państwu, a policja nic im uczynić nie może, bo są nietykalni, więc aresztować ich nie wolno. Czasby było znieść jak najprędzej tę zgubną dla kraju nietykalność poselską! Zdaje się, że przyjdzie jej wnet na koniec, gdyż już obecnie największy z klubów poselskich tak zwany Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem zrzekł się dobrowolnie tej nietykalności, a przypuszczać należy, że i inne stronnictwa, którym dobro Ojczyzny leży na sercu, pójdą za jego przykładem.

Profesor wywrotowcem. Do czego prowadzi chęć zysku, świadczy aresztowanie profesora Wolnej Wszechnicy w Warszawie Ettingera, a więc człowieka, którego nie można posądzać, aby z przekonania szerzył zgubne idee komunistyczne. A właśnie aresztowano go za rozszerzanie haseł wywrotowych wśród uczącej się młodzieży. Władze bezpieczeństwa otrzymały zawiadomienie, że w lokalu Związku zawodowych pracowników handlowych i biurowych od dłuższego czasu odbywają się zebrania komunistyczne. Kiedy w lokalu tym odbywał się właśnie odczyt prof. Dr. Adama Ettingera, wkroczyła policja i znalazła wiele dokumentów, kompromitujących nietylko słuchaczy, ale i samego pana profesora. Aresztowano kilkanaście osób, a wraz z nimi i pana profesora, który za bolszewickie pieniądze wpajał w młode umysły zgubne zasady komunistyczne.

Tragedja na weselu wiejskiem. Jak mało ludzie cenią sobie własne życie i pozbawiają się go nieraz dla błahych powodów, świadczy o tem następujący wypadek. We wsi Rozmiatowice, powiatu piotrkowskiego, miał się odbyć ślub 19-letniego syna gospodarskiego Władysława Marciniaka z dziewczyną z sąsiedniej wsi. Od wczesnego ranka pan młody kłócił się z rodzicami, że mu nie kupili nowego ubrania do ślubu i że mu dali mało pieniędzy na urządzenie wesela, przyczem zdesperowany oświadczył, że się powiesi. Rodzice nie traktowali tej groźby poważnie i wyjechali do domu panny młodej. Gdy po południu przyjechano po pana młodego, ten kazał woźnicy chwilę zaczekać. Po półgodzinnem czekaniu zniecierpliwiony woźnica wszedł do mieszkania i ujrzał tam ku swemu przerażeniu pana młodego zwisającego na sznurze, przymocowanym do pułapu. Wszelka pomoc okazała się spóźniona. Na wieść o tem samobójstwie panna młoda usiłowała się otruć, w czem jej jednak przeszkodzono. I dla tak błahego powodu zeszedł ze świata młody człowiek, unieszczęśliwiając siebie i swoje otoczenie.

Wypędzał djabła z żony. I znów jeden fakt głupoty ludzkiej mamy do zanotowania. Oto we wsi Koszelewy, w powiecie działdowskim na Pomorzu, zaszedł następujący wypadek: Z powiatu lubawskiego przybyła tam wróżka, która objawiła jednemu z mieszkańców wioski, że żona jego jest opętana przez djabła i podała sposób, jakim należy z niej tego djabła wypędzić. Stosując owe metody, mąż zaprowadził nieszczęsną „opętaną“ w nocy na cmentarz kościelny pod krzyż misyjny i obnażoną do pasa jął kropić święconą wodą, jednocześnie okładając kijem tak długo, aż jęki ofiary obudziły księdza. Proboszcz przekonany, że na cmenta-

rzu dopełnia się jakieś morderstwo, zawiadomił policję. Rzecz wyjaśniła się, ale niestety zapóźno. Poraniona i posiniaczona kobieta tego dnia jeszcze umarła. Gdy wiadomość o tem rozeszła się po okolicy, gromada ludzi pod przewodnictwem organisty udała się do mieszkania, w którem czasowo przebywała wróżka domagając się jej wydania. Ale wróżka zdołała już zjednać sobie gorących zwolenników i poufnych pacjentów, którzy zapewne również pragnęli powypędzać djabłów ze swych żon. Wywiązała się więc bójka między stronnikami a przeciwnikami czarownicy. Wybito kilka szyb w oknach, połamano sprzęty domowe i t. d. Dopiero interwencja policji położyła kres awanturze. Czarownicę zamknięto na rozmyślania w kryminale.

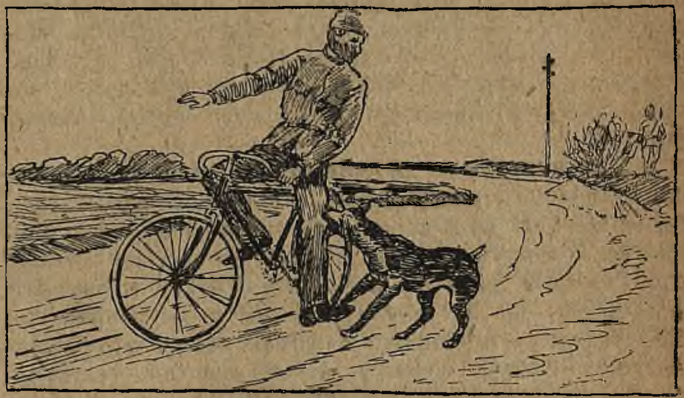
Aresztowanie znachora. Od szeregu lat na terenie powiatu brzezińskiego grasował nieuchwytny znachor, który swym „systemem" leczenia unieszczęśliwił wielu chorych, szukających jego pomocy. Przed trzema laty znachor ów, z zawodu szewc, Franciszek Wosik, zamieszkały we wsi Kołaczyn, zawitał także do Tomaszowa, gdzie chciał sobie zwerbować kljentelę. Ponieważ w miejscowem społeczeństwie działalność jego nie była spopularyzowana, znalazł sobie pośrednika, który za skromnem wynagrodzeniem pomagał mu w jego niecnej działalności. Pierwszą ofiarą niebezpiecznego oszusta była niejaka Borkowa, chora na raka. Po dłuższem badaniu polecił znachor smarowanie otwartej rany na piersiach octem i kuracje te nakazał przeprowadzać przez dwa tygodnie. Za kurację tę pobrał 100 złotych. Kuracja ta poskutkowała, gdyż w tydzień potem Borkowa wyzionęła ducha. W tymże czasie znachor leczył 12-letniego Franciszka Bednarka, który na ciele miał rozsiane wrzody. Znachor nakazał smarowanie ciała brudną wodą z kubła, z którego pojono konie. Jako wynagrodzenie wziął 25 złotych. Zastosowane lekarstwo nie poskutkowało, a ojciec chłopca poznał się na oszustwie. Znachor, obawiając się zapewne kary, znikł z Tomaszowa. Po trzech latach nieobecności powrócił jednak na miejsce swej dawnej działalności. Dowiedział się o tem Bednarek i zawiadomił policję. Policjanci zastali go w łóżku. Na rozkaz ubrania się odpowiedział im znachor, że nie boi się policji, gdyż ich zaczaruje swą laską, która liczy 175 lat. Policjanci nie ulękli się jednak owej cudownej laseczki, ale siłą zmusili znachora do ubrania się i zabrali go do kryminału, aby tam przedewszystkiem mógł wyleczyć sam siebie ze swego łotrostwa.

Błyskawice w Kownie. W ubiegłym tygodniu mieszkańcy stolicy Litwy, Kowna, zauważyli w nocy na niebie rzadkie zjawisko wśród ostrej zimy, a mianowicie błyskawice. Błyskawice pojawiały się na niebie kilka razy w ciągu nocy.

Trzy tysiące katastrof kolejowych. O gospodarce bolszewickiej w Rosji świadczy najlepiej fakt, że w ciągu ubiegłego roku na obszarze Rosji sowieckiej było ni mniej, ni więcej tylko trzy tysiące katastrof kolejowych. Straty z tego powodu wynoszą 18 miljonów rubli.

Wyrafinowane oszustwo w Berlinie. W niezwykle sprytny sposób udało się dwom oszustom naciągnąć berlińskiego kupca na olbrzymią sumę 37.000 marek niemieckich. Sprawa ta przedstawiała się następująco: Do znanego berlińskiego kupca Józefa Hahna przybył w odwiedziny pewien nieznany mu pan, przedstawiając mu się jako delegat sowieckiej misji handlowej w Berlinie i przywiózł mu pozdrowienia od córki, zamieszkałej stale w Moskwie. Kupiec ucieszył się bardzo przybyłym, przyjął go bardzo gościnnie i zaprosił go na wieczór. Gość przyjął zaproszenie i wieczorem podczas kolacji wspomniał mimochodem kupcowi, że jego przyjaciel przemycił z Rosji 2 i pół kg złota i chętnie sprzedałby je komuś w Berlinie. P. Hahn zainteresował się tą transakcją, miał bowiem widoki większego zarobku i umówił się, że na drugi dzień oglądnie to złoto. Rzeczywiście nazajutrz udali się obaj do pewnego małego hotelu i tam spotkali się z przyjacielem, który okazał kupcowi sztaby złota. P. Hahn, chcąc się upewnić, czy sztaby te są rzeczywiście złote, pojechał z dwoma przyjaciółmi do instytutu badania srebra i złota, gdzie otrzymał potakującą odpowiedź. Na drugi dzień udali się obaj przyjaciele do domu kupca i wręczyli mu sztaby, ale nie złota tylko innego metalu i po zainkasowaniu 36.800 marek wyszli spokojnie z domu. Po pewnym czasie dopiero przekonał się Hahn, że padł ofiarą oszustów. Dochodzenia zaalarmowanej policji nie przyniosły rezultatów, gdyż w międzyczasie obaj oszuści ulotnili się z Berlina.

Pies złapał złodzieja. Do jednego z hoteli w Hamburgu zajechała elegancka dama z wypchanemi walizami. Nowoprzyjętego służącego, który owe walizy do hotelu wniósł, jęła zbierać ochota do tych waliz zaglądnąć. W tym też celu uplanował sporządzić z desek okienicę z wywierconą małą dziurką, przez którą, po przystawieniu okienic, mógł wygnieść szybę. Okienice miały stłumić brzęk szkła przy wygnieceniu szyby. Gdy się już przysposobił, oczekiwał na stosowną porę, a gdy owa dama wieczór opuściła hotel, służący dostał się do wnętrza pokoju i zabrał z waliz kosztowności i pieniądze wartości kilku tysięcy marek.



Dama po przybyciu wszczęła alarm. Rano przyprowadzono psa policyjnego, który węsząc pogonił w stronę, w której służący mieszkał a za miastem, spotkawszy go jadącego na rowerze, rzucił się na niego i przytrzymał za spodnie. Aresztowany wkońcu przyznał się do kradzieży.

Kobiety w spodniach. Źródłem mody kobiecej jest Paryż. Stamtąd przychodzą rokrocznie różne dziwactwa w modzie, tam jest niejako kuźnia rozmaitych głupstw, które później nasze kobiety naśladują. Jak wiadomo, przed wojną jeszcze chciano tam wprowadzić modę noszenia spodni przez kobiety. Nie udało się to jednak, gdyż kobiety w spodniach wzbudzały niesmak i odstręczały od siebie mężczyzn. Obecnie znowu powrócono do tej myśli, chociaż trochę w zmienionej formie. Jak donoszą z Paryża, chcą tam ustroić kobiety jednocześnie w spodnice i spodnie. Spodnica byłaby długa, ale tak przeźroczysta, żeby nie zdołała nic przed okiem ludzkiem zakryć, dlatego też pod spodnice wdziewałaby kobieta również długie spodnie, któreby zakrywały to, czego suknia zakryćby nie zdołała. Ale że kobieta musi zawsze coś pokazywać, przeto chcą zaprowadzić, aby suknie kobiece były wycięte na plecach niemal do samego pasa. Chyba nie trzeba dodawać, jakby to szkaradnie wyglądało. Nawet odważne Amerykan-

ki myśl o tem nowem warjactwie mody odrzuciły ze wstrętem. Zdaje się więc, że cały pomysł spali na panewce.

Płacz „najpiękniejszej“. Jak zeszłego roku, tak i w tym roku dokonano w kilkunastu krajach europejskich wyboru najpiękniejszych kobiet, z pomiędzy których w Paryżu wybrano znowu najpiękniejszą, czyli tak zwaną „Miss Europę“. W Polsce zgłosiło się do wyboru coś około 5.000 panienek pomiędzy 18 a 20 rokiem życia, bo taki był warunek konkursu. Z tych 5 000 nadesłanych fotografij wybrano 70, umieszczono je w gazetach warszawskich i poddano trzykrotnemu głosowaniu. 15 panienek, które otrzymały największą ilość głosów, przyjechało do Warszawy, gdzie specjalna komisja miała wybrać z nich najpiękniejszą, czyli tak zwaną „Miss Polonię“. Została nią p. Zofja Batycka ze Lwowa, pomimo że w głosowaniu największą ilość głosów dostała inna Lwowianka p. Krystyna Hoeflingerówna Takie 19 „Miss“ przyjechały do Paryża i tu odbył się wybór „Miss Europy“. Losy ważyły się między Polką a Greczynką; zwyciężyła jednak Greczynka, którą ogłoszono „Miss Europą na rok 1930. Kiedy na balu ogłoszono im wynik, trzy z tych uroczych dziewcząt zapłakało: Greczynka z radości i wzruszenia na wiadomość o swym tryumfie, zaś Albanka i Turczynka z zazdrości i rozpaczy nad swoją porażką.

Niezwykła katastrofa. W Montbrison w południowo-zachodniej Francji nastąpiła oryginalna katastrofa kolejowa. Pociąg, jadący z Paryża, wykoleił się wskutek zderzenia z inną lokomotywą, która wypadłszy z szyn, runęła w pełnym biegu na dom dróżnika, stojący przy torze. Cała ściana domu runęła, grzebiąc w gruzach córkę dróżnika. Również i maszynista poniósł śmierć, a kilkunastu podróżnych zostało ciężko rannych.

Mąż zaszyty w prześcieradło. Zabawne zdarzenie opisują gazety angielskie. Oto pewien pan w Londynie oskarżył swą żonę o złe obchodzenie się z nim. Gdy na rozprawę sądową przybyli oskarżyciel i oskarżona, sędziom jakoś nie chciało się wierzyć w prawdziwość skargi. On był mężczyzną rosłym jak Goliat, ona niepokaźnem stworzeniem. A jednak skarga odpowiadała rzeczywistości. Wszyscy sąsiedzi uważali oskarżonego za człowieka bardzo gwałtownego i bali się go prawdziwie. Niejeden z nich wiedział doskonale, że Goliat bije żonę, szczególnie, gdy jest pijany. Nawet jego żona opowiedziała przed sądem bardzo wiele przykrych wydarzeń. Wszystko to znosiła cierpliwie, wreszcie jednak miarka przebrała się i poniewierana kobieta postanowiła się zemścić. Pewnego dnia mąż przyszedł do domu znowu pijany, żona jednak ukryła się wraz z dziećmi i zaczekała, aż mąż zacznie w łóżku chrapać. Wówczas chwyciła igłę i mocne nici i zaszyła śpiącego w prześcieradło. Dopiero, gdy stwierdziła, że mężulek nie może wykonać żadnego ruchu, chwyciła kij i zaczęła go bić z całej mocy. Zbudzony ciosami mąż wył nietylko z bólu, ale i z wściekłości, ale sąsiedzi przyzwyczajeni do jego awantur, nie spieszyli mu na pomoc. „Zoperowawszy“ w ten sposób męża, kobieta zabrała dzieci i uciekła do matki. Sędzia, który miał wydać wyrok w tej sprawie, był w kłopocie, co mu należy uczynić. Przemówił więc do nich na temat miłości małżeńskiej i jakoś udało mu się załagodzić zatarg małżeński. Mąż i żona pogodzili się i z uśmiechem na ustach wyszli z sali sądowej pod rękę.

Barbarzyński zwyczaj. Jedną z plag współczesnej Persji są wczesne zamążpójścia dziewcząt tamtejszych, które następują między 10 a 12 rokiem. Dzieci z takich małżeństw są słabe i niedorozwinięte tembardziej, że młodociane matki bardzo często cierpią głód i niedostatek. Mimo ogromnego przywiązania do dzieci nieświadomość matek przyczynia się do ich wielkiej śmiertelności. Gdy dziecko przestanie być karmione, daje mu się zaraz zielone jabłka, ogórki, chleb i herbatę do jedzenia i picia. Szach perski stara się temu zapobiedz, ale zwyczaj ten tak jest głęboko zakorzeniony wśród ludności, że walka z nim jest niemal beznadziejna.

Wzruszający list misjonarza. Poświęcenia misjonarzy katolickich są godne tradycji od wieków, stanowiącej chlubę naszego kościoła. Obecnie Ojciec św. otrzymał relację z Brazylji o zaparciu się siebie dla miłości bliźniego Ojca Kapucyna Ignacego d'Ispra, członka misji brazylijskiej, proboszcza kolonji trędowatych w Pernambuku. Ojciec Ignacy, lecząc trędowatych w swej parafji, zaraził się trądem i od kilku lat pozostaje na swem stanowisku, nie chcąc pozbawiać usług duchowych znacznej ilości trędowatych, zgromadzonych w kolonji miejscowej. Ojciec Ignacy pisze w swej relacji te wzruszające słowa: „Moi bracia w Chrystusie są niesłychanie biedni, w okresie deszczów nie mają prawie dachu nad głową, ostatnio długotrwała posucha spowodowała nieurodzaj, zwiększając tem samem trudność egzystencji. Napisałbym był więcej, gdyby nie to, że od pewnego czasu choroba powoli zaczyna mi toczyć palce i prawie nie mogę chodzić. Proszę o modły za tego, któryby chciał jeszcze pracować dla dobra bliźnich, a pewno wkrótce będzie skazany na niemoc zupełną. Proszę o błogosławieństwo.

Szczury powodem głodu. Jeden z misjonarzy katolickich opisuje straszną klęskę głodu, jaki panuje na wyspie Flores, a którą spowodowały nieprzeliczone masy szczurów. Żarłoczne te zwierzęta rzuciły się na wszystko, co zjeść się dało, a ponieważ namnożyła się ich taka olbrzymia liczba, że mieszkańcy nie mogą sobie dać z nimi rady, więc też hulają sobie swobodnie. Wskutek powstałego stąd głodu znaczna część mieszkańców wymarła, a i reszcie zagraża śmierć głodowa.

Oryginalny testament. Pewien bogacz nowojorski zostawił następujący testament: „Żonie mojej zostawiam jej kochanka i zapewnienie, że nie byłem tak ślepy i głupi, jak jej się to zdawało. Synowi memu zostawiam możność zapracowania na swe utrzymanie. W ciągu 35 lat sądził, że troska ta musi należeć wyłącznie do mnie. Córce mojej zostawiam sto tysięcy dolarów. Będzie ich napewno potrzebowała, by pocieszył się ten osioł, który się z nią ożeni. Memu służącemu zostawiam wszystkie te rzeczy, które mi pokradł w ciągu długich lat swej służby u mnie“.

Ucieczka nieboszczyka. W Queretaro w Ameryce przy wielkim udziale publiczności chowano do grobu tamtejszego obywatela. W chwili, gdy trumnę spuszczano już do grobu, nagle z trzaskiem pękło wieko, zmarły zerwał się na równe nogi i wyskoczywszy z grobu, pędem uciekł z cmentarza. Wśród uczestników pogrzebu powstało niesłychane przerażenie, wszyscy zaczęli również uciekać, przewracając krzyże i nagrobki. Okazało się, że chciano pochować pogrążonego w letargu, który obudził się ze snu dopiero wtedy, gdy trumna stuknęła o dno grobu. Letargiczny sen łatwo mógł zamienić się w sen wieczny, gdyby obudzenie nastąpiło w kilka minut później.

RZECZY CIEKAWE.

Niesumienni prenumeratorzy.

Nietylko u nas, ale wszędzie na świecie trafiają się tacy niesumienni prenumeratorzy, którzy pobierają gazetę, a potem za nią nie chcą płacić. Wprawdzie prenumerator taki, zaskarżony do sądu, nietylko prenumeratę, ale i koszta sądowe zapłacić musi, mimo to są ludzie, którzy na to nie zważają i płacić nie chcą.

Wydawcy radzą sobie z takimi darmozjadami, jak mogą. W Meksyku np. jest rzeczą bardzo ryzykowną pozostać dłużnym gazecie za prenumeratę lub ogłoszenia. Gdy dłużnik taki, mimo upomnienia, nie uiści należytości, ukazuje się w gazecie taka notatka: „Pan N. N. zechce pofatygować się do naszej Administracji i wyrównać swój dług!" Gdy i to nie pomaga, zamieszcza gazeta fotografję dłużnika z podpisem: „Ta bezczelna fizjognomja należy do skończonego łotra, który niepomny, jaką krzywdę wyrządza dziennikarstwu i piśmiennictwu, nie chce w żaden dobry sposób uiścić zaległej, marnej kwoty za prenumeratę. Prawdopodobnie przykra ta afera zakończy się połamaniem kości nieuczciwego człowieka przez naszych urzędników administracyjnych".

W Chinach natomiast redaktor wysyła czuły list mniej więcej następującej treści: „Przeglądając przy wieczornej herbacie listę naszych niezrównanych abonentów, spostrzegłem wspaniałe nazwisko czcigodnego pana z niezrozumiałym dopiskiem: „Zalega w prenumeracie". Pojmuję dokładnie ogrom zaszczytu, jaki sprawia nam pan, czytając naszą gazetę. Ośmielam się jednak liczyć, że nie zechce pan przyczyniać się do zagłodzenia jego nieudolnych redaktorów, bo nawet śmierć najnędzniejszego robaka obarcza sumienie sprawiedliwego. Liczę więc na załatwienie rachunku, który jest dla pana drobnostką".

Jedynie u bolszewików w Rosji nikt nie zalega z prenumeratą; prasa sowiecka jest wyłącznie „urzędowa", a komuniści mają silną rękę. Niechby kto odważył się nie zapłacić prenumeraty za gazetę, którą czy dobrowolnie czy przymusowo otrzymuje, to pod słupek z nim i koniec.

Osobliwa rzeka.

Za najbardziej naturalną granicę pomiędzy dwoma państwami uważane są zazwyczaj góry. Ale tam, gdzie ich brak, zastępuje je z powodzeniem rzeka, strumień, potok i t. p.

Otóż, niewiele osób w Europie wie, że granicą pomiędzy Francją a Hiszpanją jest rzeka, która codziennie zmienia właściciela. Jest to rzeka Bidassoa.

Bidassoa jest bardzo bogata we wspaniałe ostrygi i zawiera w swych nurtach masę ryb.

Zdawien dawna stanął pomiędzy Hiszpanją a Francją układ, mocą którego rzeka Bidassoa należy w całej swej rozciągłości i szerokości przez 24 godzin do Francji, a przez następne 24 godzin do Hiszpanji, i tak na zmianę, jak rok długi.

Mieszkańcy jej wybrzeży korzystają w całej pełni z praw połowu ostryg i ryb, gdy następuje »ich« połów.

Nigdy nie zdarzyło się jeszcze, by Hiszpanie usiłowali łowić ryby w tym dniu, kiedy rzeka należy do Francji, lub Francuzi w tym dniu, gdy należy ona do Hiszpanji.

Dzięki tej zgodzie pomiędzy mieszkańcami obu brzegów rzeki, panuje serdeczna zażyłość i zapraszają się oni wzajemnie na połowy ryb, pomagając sobie w ciężkiej pracy rybaka.

Łodzie motorowe, które mają za zadanie strzec suwerenności praw państwowych do rzeki, nigdy nie mają nic do czynienia.

Od kiedy jemy ziemniaki?

Ziemniaki opanowały stoły zarówno bogatych, jak i biednych i wprost trudno sobie wyobrazić, że jeszcze dwieście lat temu mało były znane w Europie.

Angielski żeglarz sir Francis Drake jest zwykle uważany za „odkrywcę" ziemniaków. Nie jest to jednak słuszne, gdyż około roku 1560 ziemniaki znane były we Włoszech i w Hiszpanji, zaś Drake urodził się w roku 1545, nie mógł więc już wtedy być głównym bohaterem tej kulinarnej epopei. Nie ulega wątpliwości, że Drake przyczynił się do rozpowszechnienia ziemniaczanych bulw, których ojczyzną jest Virginja w Północnej Ameryce.

Aż do początku osiemnastego stulecia ziemniaki mało były znane w Europie. U nas w Polsce uprawa ich spopularyzowała się mniej więcej w połowie osiemnastego stulecia, czyli bardzo niedawno temu. W Prusach Fryderyk II pod groźbą ciężkich kar zmuszał swoich poddanych do uprawy ziemniaków. We Francji Parmentier propagował kulturę tej amerykańskiej rośliny. W roku 1778 powierzono Parmentier'owi kierownictwo doświadczalnej fermy ziemniaczanej. Rozgłos i uznanie zdobyły sobie ziemniaki we Francji dopiero, gdy Parmentier przesłał królowi bukiet „pięknych" kwiatów ziemniaczanych.

W Niemczach rozpowszechnienie tej pożywnej, a dziś już niezbędnej dla naszego odżywiania rośliny, natrafiło na nieoczekiwany sprzeciw. Jak pisze Scherr, wybitny historyk niemiecki zeszłego stulecia, duchowieństwo silnie protestowało przeciw uprawie ziemniaków i zwało je „bulwami djabelskiemi" (Teufels knollen). Scherr uważa, że powodem dziwnej niechęci duchownych do ziemniaków była ta okoliczność, iż księża nie mieli prawa żądać dziesięciny od uprawy tej rośliny.

Ogniotrwały papier.

Gazety amerykańskie donoszą o ciekawym wynalazku dwóch chemików amerykańskich, którzy wynaleźli specjalny preparat chemiczny, zapomocą którego zwykły papier można przekształcić w papier ogniotrwały. Osiąga się to bądź przez zanurzenie gotowego papieru w wynalezionym preparacie, bądź też przez dodanie pewnej jego ilości do masy papierowej podczas fabrykacji. Tymże samym środkiem można impregnować drzewo, które staje się zupełnie odporne na działanie ognia. Skład chemiczny nowego środka trzymany jest narazie w tajemnicy. Nowy wynalazek byłby bardzo ważny dla budownictwa. Domy zbudowane z drzewa impregnowanego preparatem ogniochronnym, mogłyby skutecznie konkurować z kamiennemi budowlami.

NOWE WYDAWNICTWA.

DR J. ST. HARBUT: „Po prochy generała Bema i „Generał Bem w Turcji". Stron 190 i 80. Z licznemi ilustracjami. Warszawa 1929 r. Skład Główny: Książnica-Atlas. Niedawno ukazały się na półkach księgarskich obie te niezwykle ciekawe książki i obie spotkały się z wielkiem uznaniem prasy i fachowej krytyki. Są one bowiem nietylko ciekawe, ale i pierwsze w swoim rodzaju w naszej literaturze i historji. Pierwsza książka jest barwnym opisem podróży autora przez południowe kraje: Rumunję, Bułgarję, Turcję, Morze Czarne i Śródziemne do

Ziemi Świętej i Syrji celem odszukania grobu bohaterskiego generała Bema, który umarł w r. 1850 na emigracji w Aleppo. Autor kreśli nie z wypożyczanych, ale własnych osobistych bezpośrednich wrażeń i przeżyć w pięknych kolorach Południe i Wschód, z wędrówki przez żyzne pola Rumunji, różane pola historycznego pobojowiska Warny, z cudnego Konstantynopola, z nad grobu Langiewicza, z polskiej osady Adampola, z przecudnej podróży morskiej, a wreszcie z samej Ziemi Świętej, uświęconej życiem Zbawiciela. Z pośród świeckich pisarzy, autor pierwszy w oryginalny sposób przedstawia nam Palestynę, którą zwiedził wzdłuż i wszerz. Autor zetknął się bezpośrednio wprost z życiem Beduinów, wśród nich mieszkał i prowadził swoje badania naukowe. Tem ciekawsza to podróż, że autor sam jeden jedyny, uzbrojony tylko we własną osobistą odwagę, odbył tę podróż nieraz wśród dzikich plemion koczowniczych, z których jedno nawet napadło go wśród pustyni, biorąc go za francuskiego egzekutora, a wreszcie za żyda. Beduini, a było ich około 20, rozebrali do naga podróżnika, który tylko cudem ocalał. Z książki tej poznajemy wiele nieznanych nam dotąd zwyczajów i obyczajów, poznajemy poraz pierwszy arabskie sądownictwo, palestrę i oryginalną sektę czcicieli djabła. Druga książka mówi nam o tułactwie gen. Bema i innych rozbitków polskich na ziemi tureckiej, zwłaszcza zaś w Syrji, i wszystkich szczegółach dotąd historji nieznanych. Szczególną zasługą autora jest, że gdy sprawą, osobą i historją Bema nikt nie zajął się, autor pierwszy zbadał wszystkie szczegóły historyczne odnoszące się do Bema w Turcji i je opracował. W tym wypadku autor wyręczył wszystkie instytucje naukowe.

Obie książki są bogato i pięknie ilustrowane i obie są pisane w sposób bardzo interesujący i uwagę czytelnika napinający. *A. B.*

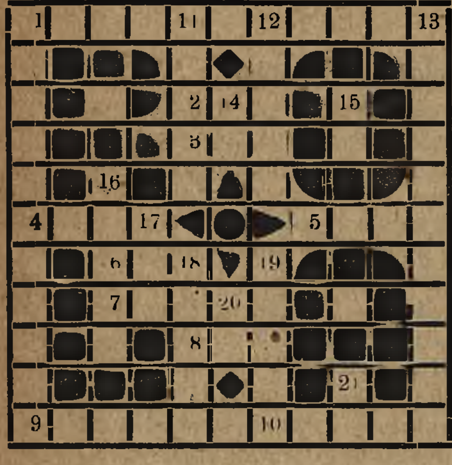
ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp. **Helena Latawcówna** w S.: „Kwiat jaśminu" otrzymaliśmy. Po przeczytaniu odpowiemy obszerniej. — **Józef Pachołek** w K.: Najtrudniejszą formą poezji jest sonet. Najmniejsza nawet usterka psuje go zupełnie, a tych w Pańskim „Nie wrócą umarli" nie brak. Zagadki umieścimy. — **Stefan Adamik** w Ż.: Lornetkę polową nabędzie Pan w firmie Zieliński, Kraków, Linja A—B. Na jazdę motocyklem trzeba mieć pozwolenie. Czy taki podręcznik jest, najlepiej objaśnić może któraś z księgarń, gdyż my go nie znamy. Nabyć można zapewne w firmie Skoda, Kraków, ul. Szpitalna. — **Władysław Mysiura** w R.: Takiego Towarzystwa nie znamy. — **Irena Kaputówna** w W.: W nadesłanym nam obrazku p. t. „Anioł Pański" znać niezaprzeczony talent. Styl poprawny, obrazowanie bez zarzutu, ale całość okryta jakby mgłą, a to osłabia wartość całego utworu. — **Franciszek Gabzdyl** w M. K.: Artykulik napisany dobrze, ale jest on zbyt krótki, aby mógł iść jako wstępny. — **Jan Żmuda** w Ch.: Za przesłaną nam fotografję serdecznie dziękujemy. Z opisu prawdopodobnie skorzystamy. — **J. Kapuściński** w M. N.: Te utwory, które Panu się nie podobają, podobają się innym, a te, które Panu się podobają, mogłyby się innym nie podobać. Aby wszystko drukować, czego sobie Pan życzy, trzebaby „Rolę" w dwójnasób powiększyć, a na to nie mamy funduszów. — **Marjan Wietrzny** w L.: Poprzedniego listu nie otrzymaliśmy. Zagadki umieścimy. — **St. Pomietło** w B.: Logogryf zamieścimy. — **Franciszek Surówka** w K.: „Bartka Zuberka" otrzymaliśmy, zamieścimy. — **Jakób Poss** w K.: Nowelkę zamieścimy; co się zaś tyczy wierszy, to trudniej, gdyż mamy ich dość dużo w teće. — **Piotr Wenc** w Ś.: „Człowieka i zwierzę" otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Kontek Eugenjusz** z Rz.: Rozwiązał Pan tylko łamigłówkę. Do nagrody trzeba rozwiązać wszystkie zagadki. Czek na rocznik wysłaliśmy w numerze. — **Gac Stanisław** w B. i **Piotr Strzelecki** w G.: Książki może Pan nabędzie w księgarni „Wiedza i Sztuka", Kraków, Gołębia 10 R., bo my nie mamy. — **Władysław Chromy** w B.: Dr Baurowicz, Kraków, Grodzka 26, doktór chorób uszu, a czy udzieli porad listownych, tego my nie wiemy.

Zagadki do nagrody.

1. Krzyżówka.

(Ułożył Wł. Wicherek z B.)



Wyrazy poziome:

1) Zakonnik. 2) Las liściasty. 3) Papuga. 4) Rodzaj trawy. 5) Pustynia w Azji. 6) Pierwiastek chemiczny. 7) Stolica europejska. 8) Inaczej „sługa lub niewolnik". 9) Wódz kozacki. 10) Inaczej płyta

Wyrazy pionowe:

1) Dźwignia portowa. 4) państwo europejskie. 11) dopływ (ramię) Wisły. 12) Rodzaj łódki. 13) Góry w Syrji. 14) miara pow. 15) Rzeka na Syberji. 16) Św. księga Mahometan. 17) Termin szachowy. 18) Inaczej „koc". 19) Wyżyna azjatycka. 20) Przyimek. 21) Spółgłoska fon.

2. Zagadki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś).

I.

Żył bardzo dawno na świecie
O nim dobrze wszyscy wiec e
Człowiek prawy bez obłudy
Co umarł nie narodziwszy się wprzódy.

II.

Powiem śmiało, bez obawy,
Wprost prowadzi do poprawy.
Kto go wstecz używa wiele
Nie długo ma duszę w ciele.

III.

Kiedy bocian stoi na jednej nodze?

(Ułożył Marjan Wietrzny).

IV.

Pierwsza grecka litera, druga pożegnanie,
A całość to co w ziemi znajduje się — [mój panie.

V.

Gdy na jedną literę, drugą inną włożysz
To na całości wygodnie się położysz.

3. Układanki zoologiczne.

(Ułożył Jan Smaza).

Ptak + imię męskie = małpa.

Spółgł. + miejsce bitwy Napoleona = zwierzę dzikie

Głos zwierząt + karta do gry = ptak.

Tytuł + spółgł. + okres czasu = zwierzę dzikie.

Spółgł + poczwarka = ptak.

Roślina + spółgł = zwierzę dzikie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 b m.

Znaczenie zagadek z Nru 6 „Roli": 1. Logogryf: Wielka Brytanja. 2. Zagadki: I. Natan. II. Potop. III. Snop. 3. Kalambury: I. Balkon. II. Granat. III. Pagoda. 4. Łamigłówka: arka-raut-kuna-atak. 5. Układanki geograficzne: Kreta, Radom, Paryż, Piotrków, Rumunja.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Ks. Maciej Suchodolski z T., Henryk Biłka-Głębicki z S., Wincenty Kula z M. K., Władysław Mazur z T., Sebastjan Lis z P. Ż., Kazimierz Juras z P., Jan Baster z G., Jan Gara z W., Stefan Jaworski z P., Franciszek Klimeczko z W. (Nr. 92), Jan Wadach z D., Józef Węgiel z C., Jan Wojnar z M. G., Stanisław Łętowski z C., Jan Kopeć z D., Piotr Wenc z Ś.

Nagrody wylosowali pp.: Henryk Biłka-Głębicki z S. i Jan Baster z G.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nie tak zręczny.

— Więc zakradłeś się w ten sposób, jak to przeczytałeś w protokole?

— Nie, panie sędzio, tak zręcznie tobym nie potrafił.



W sali balowej.

— Cóż się stało? Zauważyłem, że ani razu nie zbliżyłeś się pan do swojej żony dzisiejszego wieczoru.

— Ależ drogi panie; Jestem tu dzisiaj dla swojej wyłącznie przyjemności.

Ojciec do syna: Ty gałganie, ty nicponiu, ty łotrze, ty darmozjadzie, ty niewdzięczniku! Zapominasz, że wszystko czem jesteś — mnie masz tylko do zawdzięczenia!

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 15 lutego b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·08 do 1·60 zł.	Jałownik	od 0·87 do 1·62 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·60 zł.	Cielęta .	od 1·18 do 2·28 zł.
Krowy .	od 0·82 do 1·48 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·30 do 2·55 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·80 do 3.40

Giełda płodów rolniczych

z dnia 14 lutego b. r.

Pszenica .	34·00—34 50	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	20·00—20 50	Ziemniaki stoł.	6·00—0·00
Owies . .	17·00—18·00	Koniczyna nasienn. czer.	160·00—170·00
Jęczmień .	19·00—20·00	Mąka żytnia	38·00—38·50
Fasola biała	65·00—70·00	Mąka pszen.	69·00—70·00
Groch zwyk.	34·00—35·00	Otręby pszen.	15·00—00·00
Siano słodk.	9·00—9·50	Otręby żytnie	13·50—14·50
Łubin żółty	29·00—30·00	Mąka czerw.	18·00—19·00
Koniczpastew.	11·00—12 00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Jeszcze coś.

— Kiedy się pobierzemy, musisz się wyrzec palenia papierosów.

— Dobrze.

— I picia.

— Oczywiście.

— I chodzenia do klubu.

— Naturalnie.

— Sądzę, że niczego więcej nie potrzebujesz się już wyrzekać.

— Owszem: zamiaru ożenienia się z tobą.



Żebrak.

— I mnie się kiedyś dobrze działo. Byłem pisarzem. Napisałem dzieło pod tytułem „Tysiące sposobów robienia majątku".

— To dlaczego pan teraz żebrze?

— Jest to właśnie jeden z tych tysiąca sposobów.



Drogi buljon.

Syn ostatniego króla francuskiego Ludwika Filipa, książę Orleański, podróżując po Francji, przybył do małego miasteczka w porze obiadowej. Stanąwszy w pierwszym lepszym zajeździe, kazał sobie podać filiżankę buljonu. Gospodarz pomyślał: „Pierwszy i zapewne ostatni raz przyjmuję u siebie księcia krwi — niechże mi więc po królewsku zapłaci". Gdy adjutant zapytał o rachunek, gospodarz zażądał 500 franków. — „To bezwstydne zdzierstwo — zawołał adjutant i oznajmił o tem księciu. Ten uśmiechnął się i rozkazał przywołać burmistrza miejscowego. — „Chcę na biednych tego miasteczka ofiarować 1.000 franków — rzekł do niego — ale pod warunkiem, że z tych pieniędzy zapłacisz pan gospodarzowi za filiżankę buljonu, którą tu wypiłem". Burmistrz podziękował i książę odjechał.

Merowi dziwnym się wydawał z początku warunek księcia, ale gdy zbadał jego przyczynę i zobaczył wydłużoną twarz właściciela zajazdu, uśmiał się serdecznie, zapłacił wspaniałomyślnie całego franka za buljon, a pozostałe 999 franków użył na potrzeby najbiedniejszych.



Szczyt skrupulatności.

Pociągiem jedzie starszy pan z małym synkiem i spogląda ustawicznie na zegarek. Nagle zrywa się i pociąga za linkę bezpieczeństwa.

Pociąg staje, wpada wystraszony konduktor.

— Dlaczego pan zatrzymał pociąg?

— Właśnie mój syn ukończył w tej chwili dziesięć lat, proszę więc przyjąć dopłatę za bilet.

Wszyscy tacy sami.

— No Jasiu, macie w szkole nowego profesora, co? Cóż dobrego się u niego uczysz?

— E, tatusiu, oni wszyscy ci profesorowie tacy sami: każdy nic nie wie i o wszystko się pyta.